164103

JACK LONDON

WYPRAWA NA „BŁYSKU"

POWIEŚĆ

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
NATALJI ŁOSIOWEJ

WARSZAWA — 1931

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

BG

305887

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Szpitalna 12.

CZĘŚĆ I.

ROZDZIAŁ I.

Brat i siostra.

Przebiegli piasczyste wybrzeże, zostawiając za sobą huczący falami Pacyfik; wpadli na drogę i, skoczywszy na rowery zagłębili się w zielonej aleji parku.

Było ich trzech — trzech chłopaków w jaskrawych swetrach. Smalili wązką drożyną z tą niebezpieczną szybkością, z jaką zwykle jeżdżą młodzi chłopcy w jaskrawych swetrach. Jechali może nawet szybciej, niż na to pozwalają przepisy; tak przynajmniej sądził policjant, stojący w parku. Nie był jednak tego pewien; poprzestał więc na ostrzeżeniu chłopców, gdy przemknęli obok niego — Usłyszeli przestrogę, lecz zapomnieli o niej zaraz na następnym zakręcie, co także jest zwyczajem chopców w jaskrawych swetrach.

Minąwszy Złotą Bramę, skręcili do San Francisco; pędzili teraz wzdłuż pasma pagórków tak prędko, że przechodnie odwracali głowy i ze strachem spoglądali za nimi.

Wpadłszy wreszcie w ulice miasta starali się omijać znaczniejsze wzniesienia, kołując i zbaczając na wszystkie strony.

Gdy trudno im było uniknąć wzgórz, urządzali wyścigi, kto pierwszy dosięgnie szczytu.

Chłopca, który najczęściej przyśpieszał biegu, prowadził wyprawę i pierwszy brał przeszkody, towarzysze nazywali Joe. Był ich wodzem i faktycznie przewodził całej trójce — najweselszy i najśmielszy ze wszystkich. Lecz gdy wjechano na Zachodnie Przedmieście, gdzie piętrzyły się wielkie, wspaniałe gmachy, śmiech Joego rozbrzmiewać począł coraz rzadziej, stał się cichszy, chłopiec zaś bezwiednie zwolnił biegu i pozostał w tyle.

Na rogu ulicy Leguny i Vallejo, towarzysze Joego skręcili na prawo.

„Dowidzenia, Fred" — zawołał Joe, kierując się na lewo.

„Dowidzenia, Charley".

„Zobaczymy się dziś wieczorem" — odkrzyknęli obaj.

„Nie — nie mogę przyjść" — odparł chłopiec.

„Ale przyjdź, koniecznie" — prosili.

„Nie mogę, mam dużo roboty. „Dowidzenia".

Joe pozostał sam; twarz mu spoważniała i wyraz przygnębienia pojawił się w oczach.

Zaczął energicznie gwizdać, gdy jednak wjechał na drogę, prowadzącą do dużego dwupiętrowego domu, gwizdanie powoli słabło, wreszcie stało się ledwie dosłyszalnym dźwiękiem.

— „O! Joe!"

Chłopiec zatrzymał się przed drzwiami do bibljoteki. Wiedział, że jest tam Bessie, która pracowicie odrabia zadane lekcje. Prawdopodobnie już je nawet odrobiła, gdyż zwykle kończyła uczyć się przed obiadem, który miał być za kilka minut.

A lekcje Joego — leżą sobie najspokojniej nawet nieruszone. Ta myśl wprawiła go w zły humor.

Nie należy chyba do przyjemności mieć w tej samej klasie siostrę, młodszą w dodatku o dwa lata. Jeśli zaś ta siostra stoi we wszystkich przedmiotach o całą głowę wyżej, to sytuacja staje się wprost nie do wytrzymania.

Trudno powiedzieć, żeby Joe był niezdolny. Wiedział doskonale, że tak nie jest. Nie mógł jednak zrozumieć, w jaki sposób tak się dziwnie składało, że myśli jego były zawsze zajęte innemi sprawami, lekcyj zaś nigdy nie miał czasu odrobić.

„Joe, proszę cię, chodź tutaj" — ledwie dosłyszalna żałosna nutka zadrżała w głosie dziewczynki.

„Czego chcesz?" — zapytał chłopiec, odrzucając portjerę niecierpliwym ruchem,

Powiedział to mrukliwym szorstkim tonem, ale zły był na siebie, gdy zobaczył małą, szczupłą dziewczynkę, siedzącą przy dużym biurku, założonem książkami.

Bessie uważnie spojrzała na brata. Trzymając ołówek w ręku siedziała skulona w wygodnym fotelu tak wielkich rozmiarów, że wydawała się w nim jeszcze drobniejsza i delikatniejsza niż była w rzeczywistości.

„Czy chciałaś czego, siostrzyczko" — powiedział Joe łagodniej, podchodząc do niej.

Bessie wzięła rękę brata i przytuliła ją do swego policzka. Gdy przysunął się bliżej objęła go łagodnym, miękkim ruchem.

— „Co ci jest, Joe, kochany" — zapytała słodko. „Powiedz mi braciszku".

Joe milczał. Wydawało mu się śmiesznem powierzać swoje troski małej siostrzyczce, choćby nawet miała lepsze stopnie. Uważał także, że śmieszne jest, gdy Bessie pyta się o takie rzeczy.

— „Jaką ona ma milutką, miękką buzię" — pomyślał, gdzie dziewczynka przytuliła policzek do jego ręki.

„Ach! jakby się tu wyrwać! Przecież to wszystko razem takie niemądre!"

Nie chciał zadrasnąć uczuć siostry, bo z doświadczenia wiedział, że dziewczynki są bardzo wrażliwe.

Bessie rozchyliła rękę Joego i pocałowała go w dłoń tak lekko, jak gdyby położyła na nią płatek róży.

Znaczyło to, że ponawia pytanie.

„Eh! nic mi nie jest" — odparł chłopiec szybko. Potem zaś nagle, niewiadomo dlaczego mruknął: „Ojciec".

Bessie spostrzegła znów troskę w oczach brata.

„Ojciec jest taki dobry i łagodny Joe" — zaczęła — „Dlaczego nie starasz się, żeby był z ciebie zadowolony. Nie wymaga chyba zbyt wiele, a wszystko dla twego dobra. Nie jesteś ani niezdolny, ani niemądry, jak inni chłopcy. Gdybyś chciał się trochę uczyć, troszeczkę..."

„Ach! więc to tak! Kazanie! — krzyknął Joe, wyrywając gwatownie rękę. — „Już i ty zaczynasz mi prawić morały. Myślę, że niedługo przyjdzie kolej na kucharkę i chłopca stajennego".

Wsunął ręce w kieszenie i rozmyślał o swej smętnej przyszłości, pełnej nieskończonych kazań i niezliczonych kaznodziei.

„Czy tylko to chciałaś mi powiedzieć?" — spytał, zwracając się do Bessie.

Dziewczynka wzięła go za rękę.

„Nie, nie o tem chciałam z tobą mówić, lecz byłeś taki zmartwiony, że myślałam"...

Głos jej się załamał, więc zaczęła nanowo.

„Chciałam ci powiedzieć, że mieliśmy zamiar zrobić wycieczkę w góry na drugą stronę zatoki w najbliższą sobotę".

— „Kto bierze udział w wycieczce? — zapytał Joe.

„Myrtle Hayes".

„Co? ta niedołęga?" — przerwał.

„Nie uważam, żeby była niedołęgą", — gorąco zaprzeczyła Bessie. „Jest to jedna z najmilszych dziewczynek jakie znam".

„Jeżeli chodzi o twoje znajome i koleżanki, to rzeczywiście niema w czem wybierać" — burknął.

Ale cóż dalej, kto ma być jeszcze".

„Pearl Sayther i jej siostra Alice, Jessie Hilborn, Sadie French, Edne Crothers. To już wszystkie dziewczynki.

Joe skrzywił się pogardliwie.

„A z chłopców, kto będzie?

„Maurice i Feliks Clement, Dick Schofield, Burt Layton i..."

„O! wystarczy! Same mazgaje! jeden lepszy od drugiego.

„Chciałam zaprosić ciebie i Freda i Charley" — drżącym głosem powiedziała Bessie.

„Dlatego cię zawołałam, chciałam się dowiedzieć czy pójdziecie z nami".

„Cóż wy tam będziecie robić" — zapytał Joe.

„Pobiegamy, narwiemy kwiatów — maki już kwitną — zjemy śniadanie w jakiem ładnem miejscu i... i...

„Wrócimy do domu" — skończył chłopiec.

Bessie skinęła głową. Joe z rękami w kieszeniach chodził po pokoju.

„Babska wyprawa" — rzucił porywczo — i babski program".

„Nie mieszaj mnie do tego, proszę".

Dziewczynka zacisnęła drżące wargi i mężnie spytała:

„A ty co chciałbyś robić na wycieczce?"

— „Wziąłbym ze sobą Freda i Charley'a, pojechalibyśmy gdzieśkolwiek i zrobilibyśmy coś takiego... takiego... no jednem słowem coś dzielnego".

Przerwał i patrzył na siostrę. Ona cierpliwie czekała, czy będzie dalej mówił.

Joe nie potrafił wyrazić słowami tego co myślał, czego pragnął. Fala zniechęcenia i niezadowolenia ogarnęła go nagle; dał się porwać uniesieniu i wybuchnął.

— „O ty nie możesz zrozumieć! Nie zrozumiesz mnie nigdy, bo jesteś dziewczynką. Pragniesz być celującą, porządną, chcesz się dobrze sprawować i przodować w naukach.

Nie marzysz o niebezpieczeństwach przygodach i tym podobnych rzeczach. Nie podobają ci się chłopcy, którzy są może trochę szorstcy lecz pełni życia i energji. Lubisz dobrych małych chłopczyków w białych kołnierzykach, w zawsze czystych ubraniach, zawsze gładziutko uczesanych, którzy stoją na uboczu ze skromnemi minkami, a profesorowie chwalą ich za postępy w naukach.

Grzeczne małe chłopaczki, co się nigdy nie biją, chodzą na spacery, zbierają kwiatki i jedzą śniadanie z panienkami: O, znam ja takie typy! Boją się własnego cienia, a odwagi w nich tyle co w owieczkach.

Ale ja nie jestem i nie chcę być barankiem. O! nie! Dlatego nie mam wcale ochoty brać udziału w waszej wycieczce. Eh! co tu więcej gadać. Nie pójdę i koniec!"

Czarne oczy Bessie napełniły się łzami, usteczka zadrżały.

„Na co się zdadzą te dziewczęta" — myślał. Wiecznie tylko mażą się, przeszkadzają i wtrącają się w nieswoje rzeczy. Czy jest w tem choć trochę zdrowego sensu?

„Powiedzieć ci co, to zaraz beczysz— zaczął, próbując uspokoić siostrę.

„Doprawdy nie chciałem ci zrobić przykrości siostrzyczko — dodał pośpiesznie". — „Bądź pewna, że nie chciałem. Ja..."

Przerwał i bezradnie spojrzał na Bessie.

Szlochała biedaczka, napróżno wysilając się, by powstrzymać łkanie; po policzkach toczyły się wielkie łzy...

„Ach! wy dziewczęta!" — krzyknął Joe i z gniewem uciekł z pokoju.

ROZDZIAŁ II.

Reformy drakona.

Po upływie kilku minut Joe, mocno jeszcze wzburzony, przyszedł do jadalni na obiad. Jadł milcząc, pomimo, że ojciec, matka i Bessie prowadzili ożywioną rozmowę — „Oto nasza Bessie" — zwierzał się chłopiec swemu talerzowi — „przed chwilą płacze, szlocha, a teraz już w pysznym humorze, śmieje się i żartuje".

Takiego postępowania zrozumieć doprawdy nie można. Gdyby Joemu zdarzyło się coś tak przykrego, że doprowadziłoby go do łez, o bądźcie pewni, nie uspokoiłby się w ciągu długiego czasu. Dziewczęta są zawsze nieszczere. Z pewnością nie czują nawet setnej części tego, o co zalewają się łzami. Płaczą dlatego tylko, że im się tak podoba. Znajdują wielką przyjemność w dokuczaniu innym ludziom, zwłaszcza chłopcom i z tego powodu wiecznie wtrącają się w nieswoje rzeczy.

Zajęty temi poważnemi rozmyślaniami, Joe nie zapominał jednak o jedzeniu. Każdy coprawda, kto zrobiłby spacer od Cliff House do Zachodniego Przedmieścia, musiałby mieć dobry apetyt.

Ojciec od czasu do czasu rzucał na syna niespokojne spojrzenia. Joe nie zauważył ich nawet, lecz Bessie widziała wszystko doskonale.

Pan Bronson był to mężczyzna w średnim wieku, dobrze zbudowany, barczysty choć nie tęgi. Rysy twarzy miał ostre, poważne, silnie wysuniętą dolną szczękę, ale oczy łagodne i linje zarysowane wokoło ust świadczyły, że był raczej wesoły niż surowy.

Z łatwością dostrzegało się podobieństwo między ojcem i synem. Obaj mieli wysokie czoła, silnie rozwinięte szczęki, i te same oczy.

— „Jakże ci idą nauki, Joe? — zwrócił się pan Bronson do syna.

— „Jeszcze nie wiem" — niedbale odparł chłopiec.

— „Jutro mamy egzamin" — dodał; — wtedy się przekonam".

— „A teraz dokąd idziesz"? —spytała matka, gdy chłopiec skierował się ku drzwiom.

Pani Bronson była wysoką szczupłą kobietą o ciemnych oczach i miękkich jak Bessie ruchach.

— „Będę pracował u siebie w pokoju" — odparł Joe.

Matka z czułością pogłaskała chłopca po głowie, nachyliła się nad nim i pocałowała go w czoło. Ojciec uśmiechnął się do niego życzliwie, gdy wychodził z jadalni. Joe pędził po schodach na górę, postanawiając ostro wziąć się do nauki i dobrze zdać jutrzejszy egzamin. Wszedłszy do pokoju, zamknął drzwi i usiadł przy stole.

Spojrzał na plan lekcji. Pierwszy był jutro egzamin z historji powszechnej — od niej więc należało rozpocząć.

Otworzył książkę i na zagiętej stronicy czytał:

„Wkrótce po wprowadzeniu Reform Drakona, wybuchła wojna między Atenami i Megarą o wyspę Salamis, do której oba miasta rościły równe prawa..."

„Bardzo pięknie! Ale co to były te Reformy Drakona? Trzeba ich poszukać".

Przerzucając poprzednie stronice, zagłębił się w nauce. Nagle, gdy na chwilę podniósł oczy z nad książki, wzrok jego padł na krzesło, gdzie leżała maska do gry w „base aball" i rękawiczka dla chwytającego piłkę.

— „Gdyby nie Fred, napewno nie przegralibyśmy partji w zeszłą sobotę" — pomyślał. „Niepotrzebnie Fred tak ustępował. Ach! ten Fred! Z łatwością chwyci conajmniej ze sto pi-

łek jedna po drugiej, a gdy nadejdzie krytyczna chwila, nie potrafi utrzymać w ręku kropelki rosy. Należało wysłać Freda w „pole", na pierwszą zaś „base" postawić Jones'a. Tylko, że Jones jest znów taki nerwowy. Złapie każdą piłkę w najtrudniejszej grze, lecz nigdy nie wiadomo co z nią później uczyni".

Tu Joe zorjentował się, że myśli o czem innem.

„Dobry sposb uczenia się historji, niema co mówić!"

Pochylił głowę nad książką i zaczął:

„W krótce po wprowadzeniu Reform Drakona..." . Przeczytawszy to zdanie trzy razy z rzędu, przypomniał sobie, że nie dowiedział się jeszcze czem były właściwie Reformy Drakona.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Joe przewracał kartki z hałaśliwym pośpiechem, lecz nie dawał odpowiedzi. Pukanie powtórzyło się znowu, a słodki głos Bessie doszedł do uszu chłopca.

— „Joe drogi".

„Czego chcesz — zapytał. Zanim jednak otrzymał odpowiedź, dodał pośpiesznie.

— „Proszę nie wchodzić — jestem zajęty.

„Chciałam się tylko dowiedzieć, czy nie mogłabym ci w czem dopomóc — prosiła Bessie. — „Odrobiłam już wszystkie lekcje i myślałam, że..."

„Naturalnie! Wszystko odrobiłaś! Zawsze masz wszystko odrobione!"

Oparł głowę na rękach i starał się nie spuszczać oczu z książki. W miarę im bardziej skupiał uwagę na nauce historji, coraz wyraźniej widział leżącą na krześle maskę i wszystkie partje, w jakich brała ona udział.

„Nie, to niemożliwe". — Położył książkę ostrożnie grzbietem do góry i podszedł do krzesła. Cisnął maskę i rękawicę z taką gwałtownością i siłą, że usłyszał jak maska odbiła się od ściany.

„Wkrótce po wprowadzeniu Reform Drakona wybuchła wojna między Atenami i Megarą...

„Ciekawe jak daleko mogła potoczyć się maska" — myślał. — „Czy też można ją zobaczyć. Nie, nie będę patrzał w tamtą stronę. Co komu do tego, czy się wytoczyła czy nie. Niema to nic wspólnego z nauką historji. A jednak ciekawe czy się wytoczyła...

Spojrzał ponad książkę i zobaczył maskę, zerkającą na niego z pod krawędzi łóżka.

„Nie, to nie do wytrzymania. Nie sposób zająć się uważnie nauką, bo ta przeklęta maska jest wszędzie".

Wstał, wyciągnął ją z pod łóżka, podszedł do szafy, wrzucił do środka i zamknął drzwi.

„Dzięki Bogu! teraz mi się nie pokażesz" — powiedział.

„Przynajmniej spokojnie zabiorę się do nauki".

Usiadł przy stole.

„Wkrótce po wprowadzeniu Reform Drakona, wybuchła wojna między Atenami i Megarą o wyspę Salamis, do której oba miasta rościły równe prawa".

— „Wszystko byłoby dobrze, gdybyż nareszcie wiedzieć na czem polegały te Reformy Drakona!"

Pokój napełnił się nagle łagodnem światłem, które Joe zauważył i pomyślał: „Skąd się też ono wzięło?"

Wyjrzał przez okno. Skośne promienie zachodzącego słońca ślizgały się po niskich, letnich obłokach, nadając im ciepłe, purpurowo-różowe tony i rzucając na ziemię złotawo-czerwone refleksy.

Z obłoków Joe przeniósł wzork na zatokę. Wiatr morski cichł wraz z kończącym się dniem.

Niedaleko Fortu Point mała łódka rybacka wpływała do zatoki, korzystając z ostatnich, lekkich podmuchów wietrzyka. Nieco dalej holownik wyprowadzał na pełne morze trójmasztowy szkuner, wypuszczając gęsty słup cudacznie skłębionego dymu.

Wzrok chłopca, błądząc dokoła padł na brzeg Marin Country. Linja, gdzie ziemia stykała się z wodą, była już pogrążona w mroku;

długie cienie słały się na wzgórzach aż hen, po górę Tamalpais, której ciemny zarys odcinał się ostro na zachodniej części nieba.

Oh! żeby to on, Joe Bronson, mógł być tam w tej łódce rybackiej, gdybyż mógł ją prowadzić sam na dalekie połowy.

Albo też na owym szkunerze, śpieszącym na zachód w szeroki, nieznany świat. To byłoby dopiero życie!

Robić coś, być czemś na świecie!

Zamiast tego, siedzi tu w dusznym pokoju, pakując do głowy wiadomości o ludziach, którzy umarli i zniknęli z powierzchni ziemi na tysiące lat przed jego urodzeniem.

Z trudem oderwał się od okna, jakgdyby jakaś niewidoczna siła trzymała go przy niem. Zdecydowanym ruchem przeniósł krzesło i książkę w najdalszy kąt pokoju i usiadł tyłem do okna.

Za chwilę jednak, tak mu się przynajmniej zdawało, znalazł się znów przy oknie, patrząc i marząc.

Jak się tam znalazł, sam nie wiedział. Pamiętał, że na prawej stronie w książce przeczytał nagłówek: „Prawa i Konstytucja Drakona". Potem niby we śnie przeszedł znów do okna. Czy długo był przy niem? Łódka rybacka, którą widział wówczas koło Port Point, wpływała teraz do przystani Meiggs'a.

Na przebycie takiej przestrzeni trzeba było najmniej godzinę czasu.

Słońce dawno już zaszło; cichy, uroczysty mrok padał na wodę, a ponad szczytem góry Tamalpais migały pierwsze blade gwiazdy.

Z westchnieniem odwrócił się od okna. Zamierzał właśnie usiąść znów do nauki w kącie pokoju, gdy do jego uszu doszedł długi, ostry i przenikliwy gwizd.

„To Fred!" Joe westchnął po raz drugi. Gwizd powtórzył się znowu. Po chwili przyłączył się do niego jeszcze jeden. — „To Charley". — Czekają tam na rogu. Szczęśliwi! Ale nie zobaczą mnie dziś wieczorem". — Gwizdanie rozległo się po raz trzeci zgodnym duetem. Joe wykręcił się na krześle i jęknął:

— „Nie, nie zobaczą mnie dziś wieczorem" — powtarzał, podnosząc się jednocześnie z miejsca.

— Przecież to niemożliwe pójść tam do nich, gdy się nie umie nic a nic o Reformach Drakona.

Ta sama siła, która tyle czasu trzymała Joego przy oknie, kazała mu pójść przez pokój do stołu i położyć książkę z historją na innych podręczniakch.

Otworzył drzwi; zanim zorjentował się co robi, był już w połowie drogi do przedpookju.

Postanowił nie wychodzić wcale; przyszło mu jednak na myśl, że może przecież wyjść

tylko na chwilkę. Później wróci i skończy się uczyć.

— Tak, pójdę na krótką chwileczkę — obiecywał sobie, schodząc po schodach.

Potem zbiegał już coraz prędzej i prędzej, a gdy był na dole, skakał po trzy stopnie na raz. Nacisnął czapkę na głowę i jak burza wypadł bocznemi drzwiami. Zanim dobiegł do rogu ulicy, Reformy Drakona, zarówno jak i sam Drakon pogrążyły się w cieniach przeszłości, a jutrzejsze egzaminy równie mglisto rysowały się w przyszłości.

ROZDZIAŁ III.

Rodzina Rudych Łbów.

„Co słychać"? — spytał Joe spotkawszy Freda i Charley'a na rogu ulicy.

„Latawce" — odparł znacząco Charley, — chodźże prędzej, sprzykrzyło nam się już czekać na ciebie.

Pobiegli ulicą na szczyt „Góry". Stamtąd spojrzeli na Union Street, leżącą w dole, prawie u ich stóp.

Nazywali ją „Otchłanią", co było rzeczywiście bardzo trafne. O sobie mówili, że są „góralami". Wyprawę górali do Otchłani uważało się za wielkie bohaterstwo. Puszczanie latawców było jedną z ulubionych rozry-

wek mieszkańców Góry. Szczytem zręczności i wielką chlubą naszych trzech młodzieńców było utrzymanie eskadr latawcowych. W tym celu przywiązywano latawce po sześć lub ośm sztuk do długiego, mocnego sznura.

Po takiej zabawie często należało odświeżać zapasy latawców. — Nieraz bowiem zdarzały się wypadki.

Niespodziewanie pękł sznurek; lub jeden z latawców, wywinąwszy koziołka, pociągnął za sobą inne ku dołowi; czasem gdy, wiatr ścichł nagle — latawce spadały do Otchłani i trzeba je było uważać za stracone. Stamtąd bowiem nikomu nie udało się ich wydostać. Przyczyna tego leżała w rozbójniczo-złodziejskiem usposobieniu młodocianych mieszkańców „Otchłani", którzy mieli względne pojęcie o prawach własności.

Następnego dnia po wypadku któregoś z latawców górali, można go było widzieć jak bujał swobodnie nad Otchłanią, a przywiązany doń długi sznurek prowadził do domu jednego z jej mieszkańców.

Mieszkańcy Otchłani byli biedni i słabo uzdolnieni do robienia latawców, można jednak było zauważyć wielki postęp w tym kierunku odkąd sąsiedzi ich górale, zaczęli zajmować się tym szlachetnym sportem.

Pewien stary marynarz, korzystał również z zamiłowania górali. Mając jakie takie poję-

cie o żaglach i statkach powietrznych, posiadał sporo zręczności oraz sprytu, wyrabiał więc takie latawce, że o lepszych trudno było marzyć. Mieszkał nad wodą w nędznej chałupince, skąd patrzył mętnemi oczyma na przypływy i odpływy morza, na przychodzące i odchodzące statki, przeżywając w pamięci ubiegłe lata, gdy sam odbywał dalekie podróże.

Ażeby z Góry dostać się do chaty marynarza, trzeba było przejść przez ulice Otchłani. W tamtą też stronę skierowali swe kroki trzej młodzi przyjaciele.

Do marynarza chodzili już niejednokrotnie, zawsze jednak przy świetle dziennem. Dziś po raz pierwszy odważyli się odbyć tę wyprawę wieczorem, uważając ją, nie bez słuszności, za przedsięwzięcie dość ryzykowne — Otchłań. mówiąc poprostu, była wąską, ciasną i biedną dzielnicą, gdzie ludzie różnorodnej narodowości tłoczyli się w codziennej walce o byt, żyjąc jak się dało.

Było jeszcze dość wcześnie, gdy chłopcy mijali Otchłań, dążąc do chaty marynarza. Nie spotkała ich żadna przygoda, tylko jeden z uliczników spojrzał na nich wyzywająco i posłał za nimi kilka niepolitycznych uwag.

Latawce marynarza miały tę wielką zaletę, że po pysznem bujaniu w powietrzu, dawały

się łatwo składać, wygodne więc były do noszenia.

Każdy z chłopców kupił sobie po parę sztuk. Zwinęli je w spore paczki i wziąwszy pod pachy ruszyli ku domowi.

„Strzeżcie się tutejszych chłopaków" — ostrzegał fabrykant latawców. — „Lubią oni włóczyć się po ulicach z chwilą gdy mrok zapadnie".

„Nie boimy się ich wcale" — uspokoił go Charley. — „a wrazie potrzeby damy sobie z nimi radę".

Chłopców, przyzwyczajonych do szerokich, spokojnych ulic Góry, oszołomiło i ogłuszyło życie, huczące w zatłoczonej dzielnicy.

Zdawało im się, że są wśród gęstego, olbrzymiego lasu, przez który z trudem się przedzierają.

Szli blisko jeden obok drugiego, jak gdyby szukając wzajemnie u siebie opieki. Zdawali sobie sprawę, że są tu intruzami.

Dzieci i wyrostki biegały po ulicach, plącząc się pod nogami. W otwartych drzwiach domów rajcowały brudne, potargane kobiety; inne śpieszyły w różne strony miasta z koszykami w rękach.

Wokoło unosiła się stęchła woń gnijących owoców i ryb. Ogromnego wzrostu mężczyźni szli ciężkim, powolnym krokiem, a małe

obdarte dziewczęta przepychały się przez tłum z pieniącemi kuflami piwa.

Słychać było zewsząd żargon różnorodnych języków, przenikliwe krzyki wymyślania, a nieraz odgłosy bójek.

Otchłań dyszała nieustannym gwarem, niby wielki rój ludzki, jakim była w istocie.

— „Uf! Rad będę, gdy się stąd nareszcie wydostaniemy — zauważył Fred.

Powiedział to prawie szeptem — Joe i Charley skinęli głowami na znak, że godzą się z nim w zupełności.

Nie mieli ochoty do rozmowy; szli możliwie prędko o ile tłok na to pozwalał. Zdawało im się, że są podróżnikami wśród dzikiej dżungli.

Dzikość i niebezpieczeństwo wyzierały z każdego kąta Otchłani. Mieszkańcy jej zdawali się również odczuwać obecność intruzów z Góry.

Brudne bachory, szczerząc zęby w wyzywającym uśmiechu, zaczepiały chłopców po drodze, przy pierwszym zaś energiczniejszym ruchu z ich strony, gotowe były do ucieczki. Inne deptały naszym bohaterom po piętach, tworząc hałaśliwą świtę, która stawała się coraz śmielszą w miarę jak liczba uczestników rosła.

— „Nie zwracajcie na nich uwagi" — szepnął Joe. — „Idźcie wprost przed siebie, niedługo już się stąd wydostaniemy".

— „Zdaje się, że teraz dopiero wpadliśmy na dobre", — równie cicho odparł Fred. — „Spójrz".

Na skrzyżowaniu ulic, do którego się chłopcy zbliżali, stało czterech czy pięciu wyrostków mniej więcej w ich wieku. Światło latarni padało na nich, oświetlając zwłaszcza jednego o rudo-czerwonej czuprynie.

Nie mógł to być nikt inny, tylko Simpson, zwany Rudym Łbem, groźny dowódca niemniej groźnej szajki.

Już dwa razy Simpson wraz ze swą bandą, zapuszczał się na Górę, siejąc panikę wśród tamtejszej dziatwy, która w popłochu uciekała do domów, podczas gdy jej rodzice niecierpliwie dzwonili na policję.

Spostrzegłszy grupę wyrostków, stojącą na skrzyżowaniu ulic, banda dzieciaków, towarzysząca naszym chłopcom, rozbiegła się momentalnie na wszystkie strony z wyraźnemi oznakami przestrachu.

Zaniepokoiło to trochę trzech górali, lecz odważnie posuwali się naprzód w stronę domu.

Rudy wyrostek odsunął się od swych kolegów i stając przed chłopcami, zagrodził im drogę. Probowali go ominąć, wyciągnął jednak rękę przed siebie, tamując przejście.

„Co tu robicie, hę?" — zapytał. — „Czemu nie siedzicie tam, gdzie powinniście siedzieć?"

— „Właśnie idziemy do domu", — nieśmiało zaczął Fred — Rudy spojrzał na Joego.

„A ty co tam dusisz pod pachą?" — zagadnął.

Joe tłumiąc oburzenie, udał, że nie słyszy pytania.

„Chodźcie prędzej" — krzyknął na Freda i Charleya, starając się jednocześnie prześlizgnąć obok ulicznika.

Lecz Rudy Łeb z dziką zręcznością palnął go w twarz i szybko wyrwał z pod pachy paczkę z latawcami. Joe krzyknął z wściekłości i rzucił się na wroga, zapominając o wszelkiej rozwadze. Było to wyraźną niespodzianką dla przywódcy szajki. Nie przypuszczał nawet, aby ktokolwiek śmiał atakować go tutaj na jego własnem terytorjum. Cofnął się w tył, nie wypuszczając z rak latawców i wahając się między chęcią podjęcia walki, a pragnieniem ocalenia zdobyczy.

Zwyciężyło to ostatnie. Zawrócił szybko i pomknął jak strzała po wąskim zaułku, wśród labiryntu ulic i uliczek.

Joe oceniał wprawdzie niebezpieczeństwo, grożące mu po zapuszczeniu się wgłąb kraju nieprzyjacielskiego, lecz honor jego był zadraśnięty, prawo własności naruszone, nie wytrzymał więc i puścił się wślad za przeciwnikiem. Charley i Fred pędzili za Joem, wkrótce jednak zostali w tyle. Za nimi biegli

trzej pozostali członkowie szajki, wydając przenikliwe świsty, które były hasłem zbiórki dla reszty uliczników.

Pogoń trwała dalej. Na gwizdki odpowiadano z różnych stron dzielnicy i wkrótce ze dwadzieścia, podejrzanych, ciemnych postaci biegło w trop za Fredem i Charley'em, którzy dobywali reszty sił, aby dopędzić szybkonogiego Joego.

Rudy Simpson pędził po pustej przestrzeni, starając się jaknajszybciej dopaść jednego z tych miejsc, zawczasu upatrzonych, gdzie łatwo zatraca się ślad wśród labiryntu parkanów, ciemnych przejść i zaułków. Joe dogonił jednak przeciwnika zanim zdążył on dopaść kryjówki. Rzucili się na siebie i chwyciwszy w ramiona, upadli na ziemię.

Gdy Fred, Charley i reszta bandy dobiegła do dwóch nieprzyjaciół, stali już jeden naprzeciw drugiego, gotowi do walki.

— „Czego chcesz, hę" — burknął rudowłosy dowódca.

— „Jakie masz życzenie, chciałbym wiedzieć, gadaj-no prędzej?"

„Chcę moich latawców" — odparł Joe.

W oczach Simpsona błysnęły chytre ogniki. Latawce jemu również były potrzebne.

„Chcesz latawce, dobrze! — Bij się ze mną o nie!" — zawyrokował.

— „Po co się mam bić, kiedy one i tak są moje" — niedbale odparł chłopiec.

Jakże słabe pojęcie miał Joe o prawach własności, panujących w Otchłani!

Banda uliczników, otaczająca, niby stado wilków, swego wodza, przyjęła odpowiedź Joego kocią muzyką i chóralnym krzykiem.

— „Dlaczego mam się bić?" — powtórzył chłopiec.

„Bo ja tak powiedziałem" — odparł Simpson — „A co mówię to robię, zrozumiałeś?"

Joe nie bardzo rozumiał. Trudno mu było pojąć, że słowa Rudego Łba były prawem, jeśli nie dla całego San Francisco, to przynajmniej dla tej dzielnicy.

Krew uderzyła Joemu do głowy.

— „W tej chwili masz mi oddać moje latawce, słyszysz?" — zawołał porywczo i wyciągnął rękę po swoją własność.

Lecz Rudy Simpson schował je za siebie.

— „Czy wiesz kim ja jestem?" — zapytał.

— „Jestem Rudy Simpson i nie znoszę, żeby kto przemawiał do mnie takim tonem".

— „Daj mu lepiej spokój" — szepnął Charley Joemu do ucha.

„Co ci tam po tych kilku latawcach; zostaw go i starajmy się stąd wydostać".

„To są moje latawce" — powiedział Joe wolno i z uporem w głosie. „Są moje i muszę je odebrać!"

— „Nie możesz przecież bić się z całą bandą" — wtrącił Fred.

„Jeśli pokonasz Rudego Łba, to wszyscy inni rzucą się na ciebie".

Ulicznicy, obserwujący tę przyciszoną rozmowę i biorąc ją za wahanie ze strony Joego — zawyli jak wilcy:

— „Tchórz! Tchórz! Jaki dobrze wychowany, jaki grzeczny! Zabrudziłby sobie tę czystą koszulkę. Co mamusia powiedziałaby na to!— drwiły i drażniły małe łobuziaki.

„Milczeć" — rozkazująco krzyknął dowódca. Usłuchano go natychmiast.

— „Oddasz mi wreszcie moje latawce, czy nie?" — zapytał Joe, śmiało wysuwając się naprzód.

„A będziesz się o nie bił, czy nie?" — pytaniem na pytanie odpowiedział Simpson.

— „Będę" — odparł Joe.

— „Walka! będzie walka" — zawyło stado.

— „Popatrzę na was czy umiecie się bić uczciwie" — usłyszano nagle niski głos męski.

Wszystkie oczy zwróciły się na mężczyznę, który odezwał się w te słowa i niepostrzeżenie podszedł do chłopców.

Stojące na rogu latarnie elektryczne jasno oświetlały rosłego chłopaka, w robotniczem ubraniu. Na głowie miał czarną, wytłuszczoną czapkę, na nogach ciężkie wysokie buty, wą-

AKADEMIA SPOŁECZNA Biblioteka Główna

ski pasek z czarnej skóry podtrzymywał szerokie spodnie. Twarz robotnika była usmolona węglem; niebieska płócienna koszula rozpięta pod szyją, pozwalała oglądać szeroki kark i muskularną klatkę piersiową.

— „A ktoś ty taki? — zapytał Rudy Łeb, zły, że ktoś wtrąca się w jego sprawy.

— „Co ci do tego?" — szorstko odparł nowoprzybyły.

— „Zresztą, jeśli ci na tem zależy, mogę powiedzieć. Jestem palaczem na chińskim statku. Przyszedłem popatrzeć jak się będziecie bili. To moja sprawa — a wasza bić się! Dalej-że, zaczynajcie. Nie będziecie się tu chyba tłukli przez całą noc".

Nasi trzej chłopcy bardzo byli radzi z pojawienia się palacza okrętowego; ulicznikom jednak znacznie mniej się to podobało. Poszeptali coś między sobą, wreszcie Simpson oddał paczkę z latawcami jednemu z członków swojej świty — i wysunął się naprzód.

— „Prędzej tam, wychodzić!" — krzyknął, ściągając z siebie kurtkę.

Joe oddał swoją Fredowi i skoczył naprzeciw Rudego. Podnieśli ręce do góry i stali twarzą w twarz. Nagle Simpson zaatakował Joego. Pierwszy cios wymierzony był z dużą siłą, przytem Rudy zręcznie uchylił się od uderzenia przeciwnika. Joe poczuł odrazu szacunek dla swego partnera. Owładnęła nim nie-

przeparta ochota do zaciętej walki; aż do zwycięskiego końca.

Onieśmieleni obecnością palacza, sojusznicy Simpsona ograniczyli się do słów zachęty dla towarysza i złośliwych uwag pod adresem Joego.

Obaj chłopcy doskakiwali do siebie i z tej i z tamtej strony, atakując, broniąc się i zadając dotkliwe razy. Pozycje ich były zupełnie różne. Joe z szeroko rozstawionemi nogami, stał mocno, trzymając głowę do góry. Simpson skurczył się tak, że głowę miał prawie schowaną w ramionach. Był przytem w nieustannym ruchu; kręcił się na wszystkie strony, skakał, używając całej masy uderzeń zupełnie niespodziewanych i nowych dla Joego.

Po kwadransie walki obaj byli mocno zmęczeni; mimo wszystko jednak Joe trzymał się lepiej.

Na Simpsonie znać było skutki niezdrowego trybu życia: palenia papierosów i złego odżywiania. Zasapał się i dyszał ciężko. Początkowo dzięki dużej wprawie, Simpson silnie poturbował Joego, teraz jednak Rudy Łeb był bardziej zmęczony i ciosy jego znacznie osłabły.

W przystępie rozpaczy, zaczął stosować metody, które nie były wprawdzie nieuczciwe, ale niezbyt piękne.

Po kilku fałszywych atakach, doskakiwał

naprzód i szybko uderzał, później raptownie zginał się wpół i padał u stóp przeciwnika — Joe nie mógł bić leżącego, musiał cofać się w tył i czekać aż Simpson podniesie się z ziemi i nanowo stanie do walki.

Wówczas Rudy Łeb powtarzał znów swój poprzedni manewr.

Sprzykrzyło się to wreszcie Joemu. — W chwili gdy Simpson stosował zwykły wybieg: rzucił się naprzód całem ciałem, by upaść u nóg chłopca, Joe wymierzył mu silny cios. Simpson upadł, lecz upadł na bok, wskutek uderzenia w głowę, jakie otrzymał od Joego. Próbował powstać, przykląkł jednak tylko, jęcząc i sapiąc. Towarzysze krzyczeli, zachęcając by bił się dalej, starał się podnieść, lecz był zanadto ogłuszony i wyczerpany.

— „Poddaję się" — zawołał wreszcie. — „Jestem pokonany"! — Ulicznicy przycichli, zgnębieni porażką swego wodza.

— „Oddaj mi je teraz".

— „Oho! zaraz!" — zawołał drugi z członków bandy, stając między Joem, a jego własnością.

Ten również miał włosy rudo-czerwone.

— „Jeśli chcesz mieć latawce, musisz i mnie pokonać".

— „A to z jakiej racji" — ostro zapytał Joe.

— „Biłem się o nie i zwyciężyłem, chyba wystarcza!"

— „Dla ciebie tak, ale dla mnie niezupełnie" — odparł ulicznik.

„Jestem Rudzielec, Rudy Łeb jest moim bratem. Rozumiesz?"

Tym sposobem Joe poznał jeszcze jedno prawo, obowiązujące mieszkańców Otchłani, o którem dotąd nie miał najmniejszego pojęcia.

— „Dobrze! wychodź!" — zawołał. Jego rycerska duma oburzyła się na tak jawną niesprawiedliwość.

Rudzielec, o rok młodszy od brata, okazał się nieuczciwym przeciwnikiem. Dobroduszny palacz musiał się kilkakrotnie mieszać do walki, zanim drugi przedstawiciel rodziny Simpsonów leżał na ziemi i uznał się za pobitego. Tymczasem Joe zażądał swych latawców, nie przypuszczając ani na chwilę, że mógłby ich nie dostać.

Jakież było jego zdziwienie, gdy znów pojawił się przed nim wyrostek o rudo-czerwonej czuprynie. Komentarze okazały się tym razem zbyteczne. Joe poznał w nim odrazu jeszcze jednego członka sławnego rodu Simpsonów.

Niższy, o słabszej budowie, był on jak gdyby gorszem wydaniem swoich starszych braci.

Twarz miał mocno piegowatą, co widać było nawet przy słabem świetle latarni.

„Nie dostaniesz latawców, dopóki mnie nie pobijesz" — zawołał cienkim, piskliwym głosikiem.

— „Ja także jestem Simpson, nazywam się poprostu Rudas. Dopóki mnie nie pokonasz, rodzina nasza nie będzie się uważać za zwyciężoną".

Z ust szajki wyrwał się okrzyk zachwytu, a Rudas ściągnął poszarpaną kapotę, gotując się do walki.

„No, stawaj", — krzyknął na Joe.

Joe był w mocno opłakanym stanie. Bolały go wszystkie stawy, z nosa płynęła krew, wargę miał skaleczoną i spuchniętą, a koszulę rozerwaną od szyji do pasa. Był przytem porządnie zmęczony i zdyszany.

„Iluż was tam jeszcze jest — do licha?" — zapytał. — „Chciałbym nareszcie wrócić do domu, ale jeżeli jest was drugie tyle, to ta zabawa może potrwać do rana".

„Jestem ostatni, ale zato najlepszy" — odparł Rudas. — „Jeżeli pobijesz mnie, latawce będą twoje, napewno!"

— „Dobrze! — westchnął Joe. — „Wychodź".

Pomimo, że najmłodszy przedstawiciel klanu Simpsonów nie miał ani doświadczenia, ani siły starszych braci, walczył z taką kocią

zwinnością, że Joe był poważnie zaniepokojony, — chwilami zdawało mu się, że nie da rady z tym małym wichrem — starał się jednak opanować i dzielnie walczył dalej.

Miał wrażenie, że bije się już nie o latawce, lecz o zasady, o idee, tak jak ongiś przed laty przelewali za nie krew przodkowie jego.

Myślał, że chodzi tu o honor Góry i że on, jako przedstawiciel tamtej dzielnicy, musi wydobyć z siebie ostatki sił.

Trzymał się więc dzielnie i znosił cały szereg szybkich jak błyskawice, uderzeń Rudasa. Wreszcie młodszy i słabszy przeciwnik musiał ulec i wyznać publicznie, że po raz pierwszy w życiu rodzina Simpsonów została pokonana.

ROZDZIAŁ IV.

„Trafiła kosa na kamień".

Życie w Otchłani obfitowało w niespodzianki, o czem trzej górale mieli się wkrótce przekonać.

Zanim jeszcze Joe wszedł w posiadanie swych latawców, zobaczył ze zdumieniem, że wszyscy jego wrogowie, a także i palacz rzucili się do ucieczki.

Banda Simpsona rozbiegła się przed jakąś

nową bandą, tak jak przed Simpsonem uciekli w popłochu mali chłopcy i dziewczęta.

Joe słyszał przerażone krzyki uciekających.

„Szajka rybacka!" Szajka rybacka!"

Miał wielką ochotę umknąć razem ze wszystkimi, był jednak tak zmęczony ostatnią walką, że czuł, iż daleko nie ucieknie.

Fred i Charley pragnęli również zręcznie się wyśliznąć przed nadchodzącem niebezpieczeństwem, które było widać groźne, skoro zdołało przerazić silną bandę Simpsona wraz z dostojnym palaczem, nie mogli jednak opuścić towarzysza.

Ciemne postacie zamajaczyły na pustej ulicy. Jedne otoczyły naszych chłopców, inne puściły się w pogoń za uciekającymi.

Krzyki przerażenia świadczyły, że ulicznicy zostali wyłapani.

Gdy prześladowcy wrócili pod latarnię, przyprowadzili ze sobą ryczącego z wściekłości Rudego Łba, który pomimo porażki trzymał pod pachą zwitek latawców. Joe z ciekawością patrzył na nową bandę. Składała się ona z nędznie odzianych chłopaków w wieku siedemnastu, do dwudziestu czterech lat.

Wielu z nich miało tak występny wyraz twarzy, że na sam ich widok Joe dostawał gęsiej skórki.

Dwuch chwyciło chłopca za ręce. Fred

i Charley znajdowali się również w podobnej niewoli.

„Hej!! hej! coście tu robili" — odezwał się jeden z chłopaków, rozkazującym tonem.

— „Czerwona Pało! przyznaj się co zbroiłeś. Zaraz my tu wywąchamy co zaszło"?

„Nic nie zrobiłem", — płaczliwie zawołał Rudy Łeb.

„Nie bardzo na to wyglądasz" — odparł tamten. Odwrócił twarz Rudego do światła i spytał:— „Któż cię tak wymalował"?

Simpson wskazał na Joego, którego pociągnięto natychmiast pod latarnię.

— „ O co tłukliście się tak zawzięcie?" — zapytał samozwańczy sędzia.

— „O latawce; o moje własne latawce", — śmiało odparł Joe. — „Ten łobuz chciał mi je zabrać. O i teraz trzyma je pod pachą".

— „Aha! Taka sprawka! Wiedz o tem Rudy Łbie, że w naszej dzielnicy kraść nie wolno. Czy nigdy nie nauczysz się tego?

— „Oddawaj te latawce. Rozumiesz, mówię pierwszy i ostatni raz".

Przywódca znacząco pogroził kułakiem biednemu Simpsonowi, który płacząc ze złości oddał zdobycz.

„A wy, co tam trzymacie"? — zapytał z kolei Freda i Charley'a, wyrywając im paczki.

— „Znowu latawce!" — dodał — „Cała fabryka latawców poszła sobie na spacer."

— „I co tu z wami robić, kochane baranki" — ciągnął dalej sędziowskim tonem.

— „Za co" — żywo zapytał Joe. — „Czy dlatego, że zostaliśmy okradzeni"?

— „Nie dlatego, nie dlatego" — grzecznie zaprzeczył dowódca szajki.

— „Włóczycie się z waszymi latawcami po naszej dzielnicy i wywołujecie zamieszanie. Jest to sprawa poważna i nie ujdzie wam na sucho".

Podczas gdy mieszkańcy Góry byli przedmiotem ogólnej uwagi, Rudy Simpson, zręcznie wyślignąwszy się ze swej kurtki, wyrwał się z rąk trzymających go wyrostków i popędził w kierunku zaułka, w którym chciał się ukryć poprzednio z latawcami Joego. Dwuch czy trzech chłopaków z szajki rybackiej, przesadziwszy płot, puściło się za nim w pogoń.

W sąsiednich podwórkach wściekle zaszczekały psy i rozległ się tętent przyśpieszonych kroków. Po chwili usłyszano plusk wylewanej wody.

Pogoń wróciła niebawem w dość opłakanym stanie — wszyscy byli przemoczeni do nitki. To Rudy Łeb wylał na nich całą beczkę wody, a teraz wykrzykiwał drwiąco, siedząc na dachu jednego z zaprzyjaźnionych domów.

Wypadek ten stropił widocznie przywódcę

szajki. Zwrócił się właśnie do Joego, Freda i Charley'a, gdy w tejże chwili rozległ się donośny, przenikliwy gwizd: Był to umówiony sygnał postawionego na straży członka bandy.

Prawie jednocześnie nadbiegł ów wartownik zadyszany, krzycząc przeraźliwie:

— Policja! Policja!

Wszyscy rzucili się do ucieczki.

Joe zobaczył z daleka dwuch policjantów w hełmach. Latarki elektryczne na ich piersiach błyszczały w mroku jak gwiazdki.

— W nogi! — szepnął do Freda i Charley'a.

Przed sobą mieli rybacką szajkę, za sobą policję, pozostawała tylko kryjówka, do której schronił się Rudy Simpson. — Niewiele myśląc popędzili w tamtą stronę, a policja wślad za nimi.

Młode nogi zwinniejsze są od starszych, zwłaszcza jeśli pędzi je strach. To też nasi chłopcy pierwsi przeskoczyli wysoki parkan i znikli w labiryncie ciemnych podwórek.

Policjanci byli jednak ludźmi doświadczonymi. Wiedzieli o istnieniu różnych, tajemniczych kryjówek, wkrótce też zaprzestali pogoni.

Latarni już tutaj nie było, więc chłopcy pędzili po ciemku, drżąc ze strachu.

Na jednem z podwórek, zatłoczonym skrzynkami od owoców, błądzili około kwadransa. W którąkolwiek zwrócili się stronę, szukając

przejścia, trafiali na nieskończoną ilość pak. Udało im się wreszcie wydostać z pułapki przez dach jakiegoś śpichrza. Wpadli jednak na inne podwórko, gdzie piętrzyły się znów kojce na kurczęta.

Nieco dalej trafili na przyrząd, przy pomocy którego Rudy Simpson oblał swych prześladowców. Było to bardzo dowcipnie pomyślane: Naprzeciwko niewielkiej dziury w parkanie, leżała wąska, długa deska. Umieszczono ją w ten sposób, że każdy musiał o nią zawadzić, a była ona sprężyną pułapki.

Wystarczyło lekko ją poruszyć, aby ściągnęła duży, ciężki kamień, utrzymujący w równowadze beczkę napełnioną wodą. Woda wylewała się na ofiarę, gdy ta miała nieszczęście poruszyć ową drewnianą sprężynę.

Chłopcy uważnie obejrzeli ten dziwny przyrząd. Na szczęście beczka była chwilowo pusta, w przeciwnym bowiem razie, dostaliby porządny prysznic, gdyż Joe, idący na przedzie, zaczepił nogą o deskę.

— Ciekaw jestem, czy to przypadkiem nie podwórko Simpsona — szeptem zauważył chłopiec.

— I ja tak myślę — odparł Fred. — Albo mieszka tu kto z jego bandy.

Charley chwycił ich obydwuch za ręce i szepnął ostrzegawczo:

— Pss! Pss! Co to takiego?

Wszyscy trzej padli na ziemię. Niedaleko od nich słychać było ruch. Rozległ się plusk nalewanej wody i odgłos szybkich kroków.

Chłopcy przywarli do ziemi, starając się tłumić oddech. Jakaś ciemna postać przeszła tuż obok nich, wdrapała się na jedną z pak, z paki na parkan. Był to Rudy Łeb we własnej osobie, który na nowo zastawiał pułapkę. Słyszeli, jak poprawił deskę, położył kamień, wyprostował beczkę i nalał do niej wody. Gdy schodził z paczki, by przynieść jej więcej, Joe skoczył na niego, przewrócił na ziemię i przytrzymał.

— Cicho! Ani słowa! — szepnął.

— Ach! to ty — odezwał się równie cicho Simpson z wyraźną ulgą w głosie. — Czego tu chcecie?

— Wydostać się możliwie najkrótszą drogą — odparł Joe. — Jest nas trzech na ciebie jednego, pamiętaj!

— Dobrze, dobrze! — pośpiesznie dodał Rudy Łeb. — Z wielką przyjemnością pokażę wam drogę. — Nie mam nic przeciwko wam!

— Chodźcie za mną, wyprowadzę was z tego podwórka.

Zeskoczyli z wysokiego parkanu i wydostali się na ciemną ulicę.

— Idźcie wprost przed siebie, aż do dużej paki — wskazywał Simpson. — Potem skręć-

cie na prawo, później znów na lewo aż wyjdziecie na ulicę Union. Tra-la-la-la.

Chłopcy pożegnali się z Simpsonem i poszli we wskazanym kierunku. Na odchodnem usłyszeli uwagę:

— Na drugi raz, jak będziecie tędy szli — zostawiajcie latawce w domu!

ROZDZIAŁ V.

W domu.

Idąc za wskazówkami Rudego Łba, chłopcy wyszli na Union Street i bez dalszych przygód wydostali się na Górę. Spojrzeli na dół do Otchłani, nad którą unosił się daleki monotonny szmer, tak charakterystyczny dla miejsc gęsto zaludnionych.

„Nie pójdę tam już nigdy, do końca życia" — oświadczył Fred ze złością.

„Cieszmy się, że przynajmniej skóry wynieśliśmy w całości" — filozoficznie zauważył Joe.

„Trochę to jej tam zostało, zwłaszcza twojej" — zaśmiał się Charley.

„Masz rację" — odparł Joe. „Jeszcze w domu czeka mnie przeprawa. Dobranoc chłopaki"!

Joe słusznie przewidywał, że drzwi boczne będą zamknięte; obszedł więc dom dokoła

i jak złodziej dostał się przez okno do stołowego pokoju. Gdy mijał obszerny hall, cichutko skradając się ku schodom, z bibljoteki wyszedł ojciec.

Spotkanie było tak nieoczekiwane, że obaj z synem stanęli jak wryci.

Joe miał niepohamowaną chęć do śmiechu na samą myśl o swoim wyglądzie. W rzeczywistości wyglądał gorzej nawet niż przypuszczał. Stał oto przed panem Bronsonem chłopiec, którego kapelusz i ubranie pokryte były błotem, a twarz siniakami.

Zwłaszcza nos miał Joe mocno spuchnięty, oko podbite, wargę skaleczoną, policzek podrapany; z palców szła mu krew, a koszula była rozdarta od kołnierza aż do pasa.

„Co to znaczy chłopcze?" — odezwał się wreszcie pan Bronson.

Joe stał, milcząc. Jakże mógł wypowiedzieć w jednem zdaniu wszystko, co przydarzyło mu się w ciągu całej nocy?. Przedewszystkiem musiałby zacząć od wytłumaczenia swego nieszczęsnego wyglądu.

— „Joe, czy zaniemówiłeś?" — zapytał z niecierpliwością pan Bronson.

...„Byłem... byłem...

„No mów, mów śmiało!" — zachęcał ojciec.

„Byłem tam... na dole... w Otchłani..." wykrztusił wreszcie Joe.

„Wyglądasz nawet na to, że z Otchłani wracasz" — odrzekł pan Bronson poważnie, nigdy chyba jednak z takim trudem nie powstrzymywał się od śmiechu jak w tej chwili.

„Przypuszczam" — ciągnął dalej — „że masz na myśli jakąś dzielnicę San Francisco, a nie miejsce zesłania grzeszników, prawda?"

Joe wskazał ręką w kierunku ulicy Uion i rzekł:

„Tam... na dole, ojcze".

„A któż ją tak nazwał?"

„To ja... — odparł Joe takim tonem, jak gdyby przyznawał się do wielkiego przestępstwa.

„Nazwa bardzo trafna, przyznaję; dowodzi dużej wyobraźni — trudno wymyślić coś lepszego. Musisz dobrze stać w nauce języka angielskiego w szkole".

Uwaga ta bynajmniej nie uszczęśliwiła Joe. Język angielski był jedynym przedmiotem, którego nie potrzebował się wstydzić.

Stał przed ojcem jak uosobnienie nędzy i nieszczęścia. Pan Bronson patrzył na niego oczyma swego własnego dzieciństwa, ze współczuciem, jakiego się chłopiec nawet nie domyślał.

„Zamiast się tłumaczyć, musisz dostać narazie kąpiel, plastry i zimne okłady — rzekł

wreszcie do syna. Trzeba żebyś się porządnie wyspał; dopiero jutro rano poczujesz się naprawdę połamany i chory". Zegar bił godzinę pierwszą, gdy Joe kładł się do łóżka. Miał wrażenie, że po krótkiej chwili obudziło go nieustanne stukanie, które zdawało się już trwać kilka stuleci z rzędu. Nie mogąc znosić go dłużej, chłopiec otworzył oczy i usiadł na łóżku.

Przez okno widać było dzień — jasny, słoneczny dzień. Joe przeciągnął się, chcąc ziewnąć, uczuł jednak ostry ból mięśni — opuścił więc ręce jeszcze prędzej niż je podniósł. Spojrzał na nie ze zdziwieniem i odrazu przypomniał sobie wypadki ubiegłej nocy.

Stukanie nie ustawało, krzyknął więc:

„...Słyszę..., słyszę! Która godzina?".

„Ósma" — rozległ się za drzwiami głosik Bessie. — „Musisz się dobrze spieszyć, by na czas przyjść do szkoły".

„O Boże!"

Chłopiec wyskoczył z łóżka, jęknął z bólu w zesztywniałych mięśniach i wolno, ostrożnie usiadł z powrotem na krześle.

„Dlaczego nie obudziłaś mnie wcześniej" — zapytał siostry.

„Ojciec powiedział, że musisz się wyspać".

Joe jęknął powtórnie, ale trochę inaczej,

gdy zaś wzrok jego padł na podręcznik historji, zajęczał raz jeszcze.

„Dobrze, dobrze" — odkrzyknął Bessie. — „Idź już, zejdę za chwilę". Zeszedł rzeczywiście niedługo. Gdyby jednak Bessie widziała z jaką ostrożnością schodził ze schodów i jakie skurcze bólu wykrzywiały mu twarz, zdziwiłaby się pewnie niezmiernie.

Ujrzawszy brata w stołowym pokoju, dziewczynka podbiegła do niego z okrzykiem przerażenia.

„Co ci jest" — spytała drżącym głosem. — „Co ci się stało, Joe?".

„Nic" — mruknął chłopiec, biorąc cukier.

„Ależ napewno"... zaczęła.

„Proszę cię przestań" — przerwał. „Jest już późno, a mam ochotę zjeść śniadanie".

W tej chwili pani Bronson spojrzała znacząco na Bessie. Dziewczynka wyszła z pokoju mocno zaniepokojona.

Joe był niezmiernie wdzięczny matce, że nie robiła mu żadnych uwag z powodu wyglądu. Pewnie ojciec powiedział jej wszystko. Ale mama o nic pytać nie będzie, nie miała bowiem tego zwyczaju.

Rozmyślając w ten sposób, Joe w samotności kończył śniadanie. Było mu jakoś niewyraźnie i przykro, że matka z pewnym niepokojem krząta się koło niego.

Była zawsze dla syna bardzo serdeczna,

zauważył jednak, że pocałowała go ze szczególną czułością, gdy przed wyjściem do szkoły pakował książki w rzemienne paski. Zauważył również, zanim skręcił na rogu ulicy, że matka śledzi go przez okno.

Coprawda dużo więcej obchodziły chłopca ból i sztywność mięśni, niż zachowanie się matki. Każdy krok był wysiłkiem i męką. Stokroć bardziej dokuczał mu nawet ów ból mięśni niż rany oraz ostry blask odbitych od asfaltowego chodnika promieni słonecznych, rażących jego spuchnięte oko. Joe nie wyobrażał sobie nawet, aby mięśnie mogły zesztywnieć do tego stopnia. Każdy z nich zdawał się buntować przeciw wszelkiemu ruchowi. Palce spuchły chłopcu bardzo i było prawdziwą męką zginać je lub rozginać. Ręce rwały od dłoni aż do łokci. Sądził, że było to skutkiem dużej ilości uderzeń, jakie dostał, ochraniając twarz i resztę ciała. Joe zastanawiał się nad tem czy i Rudy Łeb czuje się tak niedobrze. Myśl o wspólnej niedoli napawała chłopca uczuciem pewnej sympatji dla młodego lecz dzielnego ulicznika.

Gdy Joe wszedł na podwórze szkolne, zauważył, że stał się odrazu przedmiotem ogólnej uwagi.

Chłopcy skupiali się wokoło niego z wyraźnym szacunkiem. Nawet koledzy z tej samej klasy i ci, z którymi żył bliżej, przyglądali

mu się z respektem, jakiego nigdy dotąd nie spostrzegał.

ROZDZIAŁ VI.

Dzień egzaminu.

Fred z Charley'em rozgadali w całej szkole o wczorajszej wyprawie do Otchłani i o pojedynku Joego z Simpsonami.

Joe z niecierpliwością oczekiwał dzwonka i z uczuciem ulgi wszedł do klasy. Koledzy patrzyli na niego z zachwytem, a dziewczęta z uczuciem lęku.

Chłopiec pomyślał, że w podobny sposób spoglądałyby zapewne na Daniela po wyjściu z jaskini lwów lub na Dawida, gdy pokonał Goliata.

Czuł się źle w tej roli bohatera, pragnął szczerze, aby zaczęto wreszcie patrzeć na coś innego.

Życzeniu chłopca wkrótce stało się zadość. Rozdano wszystkim duże arkusze kancelaryjnego papieru. Do klasy weszła nauczycielka, panna Wilson. Była to osoba młoda, lecz bardzo surowa. Kulę ziemską traktowała, jako coś w rodzaju wielkiej chłodni, i dlatego stale nosiła na sobie wełniany szalik lub chusteczkę, nawet w najcieplejsze dni w ciągu roku. Panna Wilson podeszła do tablicy i napisała wielką rzymską I. Wszystkie oczy,

a było ich w klasie pięćdziesiąt par, z natężeniem śledziły ruch jej ręki. Panowała cisza grobowa.

Pod rzymską I napisała:

a) Na czem polegały prawa Drakona?

b) Dlaczego jeden z mówców ateńskich powiedział o nich, że były pisane krwią, a nie atramentem.

Czterdzieści dziewięć głów pochyliło się nad pulpitami i czterdzieści dziewięć piór zaskrzypiało po papierze.

Jeden tylko Joe nie wziął się do pisania, patrzył na tablicę, takim przerażonym wzrokiem, że panna Wilson, która po postawieniu cyfry II odwróciła głowę do klasy, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Po przerwie pisała dalej:

a) Dlaczego wojna między Atenami i Megarą o wyspę Salaminę wywołała Reformy Solona?

b) Czem różniły się one od Reform Drakona?

Skończywszy pisać, nauczycielka po raz drugi spojrzała na Joego, który wciąż miał przerażoną minę.

— „Co ci jest Joe" — zapytała. — „Może nie masz papieru?"

— „Dziękuję pani, mam papier" — odparł Joe i zaczął wolno temperować ołówek.

Zaostrzył go cienko, później jeszcze cieniej;

wreszcie tak cieniutko, jak szpilkę. Niektórzy uczniowie, słysząc skrobanie ołówka, spojrzeli ze zdziwieniem na chłopca.

Joe nie zauważył tego; zanadto był pochłonięty swojem zajęciem i myślami, które odbiegały dalego i od ostrzenia ołówka, i od historji Grecji.

— „Nie potrzebuję wam chyba przypominać, że na egzaminie nie wolno pisać ołówkiem, lecz atramentem" — rzekła panna Wilson, patrząc na Joego.

W tej właśnie chwili cieniutki koniec ołówka trzasnął i Joe zaczął go ostrzyć nanowo.

— „Joe, przeszkadzasz całej klasie" — zniecierpliwiła się wreszcie nauczycielka.

Chłopiec położył ołówek, zamknął scyzoryk i zapatrzył się na tablicę. Nie miał pojęcia ani o Drakonie, ani o Solonie, ani o Grekach w ogólności.

Myślał, że oto ściął się zaraz na pierwszym egzaminie.

Poco czytać dalsze pytania? Wprawdzie na niektóre z nich dałoby się może odpowiedź. Czy jednak warto pisać, skoro egzamin i tak przepadł?

Chłopca bolała ręka coraz mocniej, bolały go oczy i wówczas, gdy patrzył na tablicę, i gdy trzymał powieki zamknięte. Myślenie nawet sprawiało mu ból.

Tymczasem czterdzieści dziewięć piór

skrzypiało po papierze w pogoni za panną Wilson, która pokrywała tablicę coraz innemi pytaniami. Joe słuchał tego skrzypienia, patrzył na szeregi wierszy, wyrastających z pod palców nauczycielki i czuł się bardzo nieszczęśliwy. W głowie mu się kręciło, bolała go i zewnątrz i wewnątrz tak mocno, że chwilami tracił panowanie nad sobą.

Wczorajszy pobyt w Otchłani wydawał się chłopcu jakąś marą nocną.

Wspomnienia o nim prześladowały go ciągle i w żaden sposób nie mógł się od nich uwolnić. Starał się skupić uwagę, patrząc na pannę Wilson, która po napisaniu pytań usiadła przy stoliku. Ile razy jednak spojrzał na nią, zdawało mu się, że widzi przed sobą arogancką i bezczelną twarz Rudego Simpsona. To było wprost okropne!

Joe czuł, że jest chory, pobity, zmęczony i niezdolny do niczego.

W tych warunkach musiał ściąć się na egzaminie.

Zaczęto wreszcie zbierać arkusze z ćwiczeniem. Ledwie się doczekał tej chwili. Oddał również i swój papier, nie podpisawszy na niem nic więcej, oprócz nazwiska, daty i nazwy przedmiotu.

Po krótkiej przerwie, klasa dostała nowe arkusze. Rozpoczął się egzamin z arytmetyki. Joe nie spojrzał nawet na pytania. W nor-

malnych warunkach byłby zdał egzamin z pewnością, w tej chwili jednak wiedział, że jest to niemożliwe. Podparł głowę rękami i czekał, aż zadzwonią na południową przerwę. Raz, gdy patrzył na zegar, pochwycił przerażony wzrok Bessie, która spoglądała na brata z pośród szeregu piszących dziewczynek. Zwiększyło to jeszcze niezadowolenie chłopca.

— „Co jej do tego" — myślał. — „Napewno dobrze zda egzamin, niema się czego obawiać".

— „Rób swoje i daj mi spokój" — mruknął.

Spojrzał na siostrę z gniewem; schował twarz w dłonie i przetrwał w ten sposób aż do dzwonka. Gdy zbierano arkusze z zadaniami arytmetycznemi, oddał swój, tak samo czysty jak poprzedni i wyszedł z klasy wraz z kolegami.

Fred, Charley i Joe jadali zwykle śniadania w pewnym ulubionym zakątku podwórza. Dziś zastali tam już ze dwudziestu kolegów, którzy przyszli na pogawędkę.

Joe był z tego bardzo niezadowolony. Wcale nie miał ochoty odgrywania roli bohatera.

Głowa bolała go mocno, a przytem martwił się dwoma już nieudanymi egzaminami. Co będzie po południu z resztą?

Zły był na Freda i Charley'a.

Jak sroki rozpaplali o wczorajszych przy-

godach. Wychwalali bohaterskie zachowanie się Joego i z wyższością spoglądali na kolegów, którzy odnosili się do nich z niesłychanym podziwem. Wszystkie próby wciągnięcia Joego do rozmowy okazały się daremne. Mruczał coś pod nosem i odpowiadał krótkiem „tak" lub „nie".

Pragnął uciec stąd jaknajprędzej, wyciągnąć się na zielonej, miękkiej trawie i zapomnieć o troskach, bólach, przykrościach.

Odszedł aby poszukać spokojniejszego miejsca, lecz zaraz przyłączyło się do niego sześciu kolegów.

Chciał im powiedzieć, by zostawili go samego, ale duma nie pozwalała na to.

Czuł, że jest zmęczony i smutny.

— Nagle, myśl nieoczekiwana przyszła mu do głowy. Ponieważ ranne egzaminy tak się nie powiodły, postanowił nie narażać się na nowe tortury popołudniu, wiedząc, że będzie jeszcze gorzej.

Pod wrażeniem chwili zdecydował się szybko i wyszedł za bramę szkoły. Koledzy przyglądali mu się ze zdziwieniem. Nie zwracał na nich uwagi, szedł prosto, aż skręcił na rogu ulicy. Dopóki nie trafił na szyny tramwajowe, nie miał określonego celu dokąd idzie. Gdy zobaczył wagon, który nadszedł z miasta, czekał aż pasażerowie wysiądą, wszedł do tramwaju i usiadł w kącie. Tak był pogrą-

żony w myślach, że ocknął się dopiero wówczas, gdy tramwaj, zrobiwszy kurs, zawracał. Wyskoczył pospiesznie. Znalazł się przed dużym, pięknym gmachem. Dziwił się, że nie widząc i nie słysząc nic, przejechał przez najruchliwszą, handlową część San Francisco. Spojrzał na zegar, umieszczony na wieży pięknego gmachu. Było dziesięć minut po pierwszej; dość czasu, aby zdążyć na statek, odchodzący o pierwszej piętnaście. Zdecydował się w jednej chwili; kupił bilet za dziesięć centów, przeszedł przez bramę przystani i zanim pomyślał dokąd jedzie, płynął po zatoce do pięknego Oakland.

W godzinę później siedział nad wodą, opierając bolącą głowę o słup nadbrzeżny i patrząc bez celu przed siebie. Ze swego miejsca widział pokłady kilku żaglowych statków.

Tłum gapiów przyglądał im się z brzegu. Joe także zaczął patrzeć uważniej. Było ich cztery. Na dziobie jednego z nich, stojącego naprzeciwko było napisane dużemi, zielonemi literami: „Upiór". Trzy dalsze nosiły nazwy: „Kaprys", „Królowa Ostryg" i „Latający Holender".

Każdy statek miał pośrodku kajutę, na dachu której sterczał krótki komin. Z komina „Upióra" szedł dym. Drzwi kabiny były otwarte, dach odrzucony na bok tak, że Joe widział doskonale młodego chłopca, lat około

20, który zajęty był gotowaniem. Chłopiec miał na sobie wysokie buty morskie, sięgające do bioder granatowe spodnie i ciemną wełnianą koszulę. Rękawy, zawinięte do łokci, pozwalały oglądać opalone, muskularne ręce, a, gdy podniósł głowę do góry, Joe zobaczył twarz bronzową od słońca i wichrów. Joe poczuł zapach kawy, gotującej się w małym, żelaznym kociołku.

Kucharz postawił patelnię na ogniu; a gdy się nieco rozgrzała rzucił na nią kawałek tłuszczu wraz z soczystym befsztykiem. Podczas tego zajęcia rozmawiał z towarzyszem, który, stojąc na pokładzie, czerpał wodę i polewał nią leżący stos ostryg. Towarzysz ów przykrył ostrygi mokrymi workami i wszedł do kajuty, gdzie na małym stoliku nakryte było do obiadu — kucharz przyniósł potrawy i obaj zabrali się do jedzenia.

Romantyczna żyłka odezwała się z całą siłą w duszy naszego bohatera. „To mi dopiero życie!" — myślał. „Życie na swobodzie pod jasnem niebem i palącymi promieniami słońca. Wśród huku fal, wycia wichrów, szumu ulewy! Dziś tu, a jutro tam, jak zdarzy los! Kiedy ja, wraz z czterdziestu dziewięcioma istotami równie pokrzywdzonemi, muszę dzień w dzień siedzieć w dusznej klasie, łamiąc sobie głowę i nabijając mózg różnemi

nudnemi wiadomościami — oni żyją radośni, szczęśliwi i beztroscy.

Wiosłują, prowadzą statki, sami sobie gotują jedzenie i z pewnością przeżywają takie przygody, o jakich my najwyżej śnić możemy podczas nudnych wykładów".

Westchnął; czuł, że stworzony jest nie po to, by siedzieć w dusznej klasie, lecz aby żyć na szerokiem świecie.

Jako uczeń był do niczego. Ściął się na egzaminach, podczas gdy Bessie z pewnością zdała wszystko doskonale. Z tryumfująca miną wraca pewnie w tej chwili do domu.

„Oh! do takiego życia nie warto się było rodzić. Ojciec zrobił wielki błąd oddając mnie do szkoły" — myślał. „Jest to dobre dla chłopców, lubiących naukę, mnie ona wcale nie pociąga. W życiu więcej jest sposobności do zrobienia karjery, niż w szkole. — Iluż ludzi zaczynało, jako prości marynarze. Potem stawali u szczytu władzy, mieli własne floty, tworzyli wielkie dzieła, a imiona ich zapisane zostały na kartach historji. Dlaczegóż, ja, Joe Bronson, nie mógłbym być do nich podobny"?

Zamknął oczy i poczuł wielki żal nad samym sobą. Gdy otworzył powieki, spostrzegł, że słońce zniża się już ku zachodowi. Usnął, siedząc na brzegu.

Było już zupełnie ciemno, gdy wrócił do

domu. Nie spotkawszy nikogo, poszedł do swego pokoju i położył się do łóżka. Z rozkoszą wyciągnął się w czystej, chłodnej pościeli. Myślał, że cokolwiek się stanie, nie potrzebuje przynajmniej troszczyć się o egzamin z historji. Następna myśl była mniej przyjemna: oto zacznie się nowe półrocze, na końcu którego czekają znów te same egzaminy.

ROZDZIAŁ VII.

Ojciec i syn.

Następnego dnia rano ojciec wezwał Joego do biblijoteki. Chłopiec oczekiwał z niepokojem rozmowy z ojcem, rad był więc, że nareszcie sprawa się wyjaśni.

Pan Bronson stał przy oknie i z zajęciem śledził gromadkę wróbli. Joe spojrzał w tym samym kierunku. Zobaczył na trawie małego wróbelka, który z trudem starał się utrzymać na słabych, dziecinnych nóżkach. Spadł widocznie z gniazda, umieszczonego w krzaku róż, pnących się nad oknem. Rodzice pisklęcia z głośnym krzykiem, latali nad kruszyną, zaniepokojeni niebezpieczeństwem, jakie jej groziło.

— „Widzisz jak się zachowują niektóre pisklęta — zauważył pan Bronson, zwracając się z poważnym uśmiechem do syna.

— „Mam wrażenie, mój chłopcze, że i ty łatwo możesz się znaleźć w podobnej sytuacji. Boję się, czy nie nadeszła już dla ciebie ta przełomowa chwila. Czekałem na nią długo, obserwowałem cię przez cały rok. Niestety, skonstatowałem tylko złe postępy w naukach, brak staranności, pilności i uwagi. Jesteś wiecznie poza domem, w poszukiwaniu najróżnorodniejszych przygód".

Przerwał i zdawał się oczekiwać tłomaczenia ze strony syna, lecz chłopiec milczał.

— „Dałem ci zupełną swobodę" — mówił dalej: — „Wierzę bowiem, że dobre charaktery rozwijają się w takiej atmosferze. Dlatego nie krępowałem cię częstemi uwagami i zakazami. Wymagałem niewiele: wychodziłeś kiedy chciałeś i wracałeś kiedy chciałeś.

W ten sposób polegałem na tobie; pozwoliłem rządzić ci się samemu, ufając, że wrodzona uczciwość nie pozwoli ci zejść na manowce i że przynajmniej uczyć się będziesz dobrze. Widzę jednak, że się zawiodłem. Powiedz mi więc teraz co mam z tobą robić? Czy ograniczyć twoją swobodę? Czy kazać cię pilnować? Czy siłą zmusić cię do nauki?"

— „Dostałem dzisiaj pewien list..." — mówił dalej po małej przerwie, biorąc ze stołu kopertę i wyjmując z niej zapisaną ćwiartkę papieru.

Joe poznał proste, sztywne pismo panny Wilson; serce zamarło w nim z trwogi.

Pan Bronson czytał:

„Nieuwagę i niedbałość cechowały jego prace w ciągu ostatniego semestru. Okazało się, że był zupełnie nieprzygotowany do egzaminów. Zarówno z historji jak z arytmetyki nie starał się odpowiedzieć na żadne pytanie; oba arkusze oddał całkowicie niezapisane. Egzaminy z tych przedmiotów odbywały się rano, na popołudniowe wcale się nie zjawił..."

Pan Bronson skończył czytać i patrzył na Joego.

„Gdzie byłeś wczoraj popołudniu?" — spytał.

„Pojechałem statkiem do Oakland'u" — odparł Joe. Nie próbował się nawet usprawiedliwić przed ojcem bólem głowy i całego ciała.

— „To się nazywa „wagary", czy tak?" — spytał ojciec.

— „Tak" — odrzekł chłopiec.

— „W przeddzień egzaminu" — rzekł pan Bronson — „zamiast się uczyć, uważałeś za stosowne powędrować na miasto i wszcząć bójkę z jakimiś ulicznikami. Nic ci wówczas nie powiedziałem, prawda? Pomyślałem, że jeśli dobrze zdasz egzaminy, nie będę się wcale gniewał na ciebie za tamto..."

Joe nie miał właściwie nic na swoje uspra-

wiedliwienie. Uważał, że ojciec nie zrozumie przyczyn, które kierowały jego czynami; poco się więc tłomaczyć?

— „Główne twoje wady — to niedbałość i brak skupienia" — mówił ojciec. — „Jednej rzeczy nie stosowałem do ciebie, czego widać potrzebujesz — mianowicie surowego rygoru. Od niejakiego czasu rozmyślałem nad tem, czy nie byłoby dobrze oddać cię do szkoły wojskowej. Każdą godzinę miałbyś tam zajętą i musiałbyś ściśle wypełniać wszystkie rozkazy".

„Ach! ojcze" — powiedział Joe — „Nie rozumiesz mnie wcale, nie wiesz o co mi chodzi. Chciałem się uczyć, naprawdę chciałem, lecz nie mogłem. Sam nie wiem dlaczego nauka nie idzie mi do głowy. — Może urodziłem się już taki do niczego; może nie jestem stworzony do nauki. Chcę poznać życie, ojcze, — chcę żyć! Nie oddawaj mnie do szkoły wojskowej! Pozwól mi lepiej pójść na morze lub gdziekolwiek indziej, abym mógł sam coś robić; zostać czemś na świecie.

Pan Bronson, łagodnie spojrzał na syna — i rzekł:

„Ażeby coś robić, dziecko, i być czemś na świecie trzeba się przedewszystkiem uczyć!"

Joe zrobił desperacki ruch ręką.

„Wiem co o tem myślisz" — mówił dalej ojciec. — „Jesteś jeszcze bardzo młody, po-

dobny do wróbelka, którego obserwowaliśmy przed chwilą. — Jeżeli w domu nie masz na tyle silnej woli, by zmusić się do pracy, to i poza domem, w szerokim świecie, który cię tak nęci, nie potrafisz spełniać włożonych na ciebie obowiązków. Owszem, chętnie zgodzę się na to, byś poznał trochę świata, gdy skończysz szkołę, a zanim wstąpisz do uniwersytetu.

— „O! pozwól mi już dziś iść w świat, ojcze", — gorąco zawołał chłopiec.

— „Nie, synu; teraz jest jeszcze stanowczo zawcześnie — odparł ojciec. — Nie urosły ci jeszcze skrzydła. Jesteś niewyrobiony życiowo, a twoje poglądy i ideały nie są ustalone".

— „Ja się uczyć nie mogę, ojcze", — upierał się chłopiec. — „Wiem z góry, że nie potrafię".

Pan Bronson spojrzał na zegarek i powstał z miejsca.

— „Nie zdecydowałem się jeszcze co z tobą zrobię" — rzekł. — „Albo oddam cię z powrotem do szkoły, albo pojedziesz do akademji wojskowej". — W drzwiach zatrzymał się na chwilę, spojrzał na syna i powiedział: — „O jednem tylko pamiętaj, Joe: nie gniewam się na ciebie, jest mi tylko niewypowiedzianie przykro. Rozważ sobie spokojnie wszystko

o czem mówiliśmy przed chwilą — wieczorem powiesz mi co postanowiłeś".

Ojciec wyszedł. Joe słyszał jak zamykał za sobą drzwi frontowe. Chłopiec rzucił się na fotel i zamknął oczy.

— „Akademja wojskowa! Br! — bał się jej jak dzikie zwierzę klatki. Za nic na świecie, nie chciałby się tam dostać. A publiczna szkoła" — westchnął głośno. Do wieczora miał powziąć decyzję o swoim losie.

— „Poco tak długo czekać" — myślał. — „Wiem co zrobię!"

Zdecydowanym krokiem wyszedł z bibljoteki; wziął czapkę i skierował się ku drzwiom.

— „Pokażę ojcu, że potrafię wykonać włożone na mnie obowiązki" — myślał.

Zanim doszedł do szkoły, miał już cały plan gotowy, chodziło tylko o wykonanie.

Było południe. Wszedł do klasy i spakował książki, nie zauważony przez nikogo.

Idąc z powrotem spotkał na podwórzu Freda i Charley'a.

— „Co się stało?" — spytał Charley.

— „Nic — mruknął Joe.

— „Dokąd idziesz?"

— „Do domu — Odnoszę książki. A ty myślałeś, że co?"

— „Czekaj! cóż to za tajemnica" — wtrącił się Fred — „Powiedz, co się stało?"

— „Dowiecie się wkrótce sami" — rzekł Joe bardziej znacząco niż zamierzał.

Bojąc się powiedzieć zawiele, pożegnał zdumionych kolegów i odszedł.

Wróciwszy do domu, udał się wprost do swego pokoju i zaczął w nim porządkować.

Potem wyjął z komody kilka sztuk bielizny, parę bawełnianych koszul, pół tuzina skarpetek, trochę chustek. Dodał do tego grzebień, szczoteczkę do zębów i zawinął wszystko w gruby papier. Z radością spojrzał na pakunek.

Następnie podszedł do biurka; wyjął ze środkowej szuflady swe kilkomiesięczne oszczędności, wynoszące kilka dolarów i wsunął je do kieszeni. Pieniądze te zbierał na dzień czwartego lipca, — dziś zabrał je bez żalu.

Wreszcie otworzył teczkę, usiadł przy stole i napisał:

„Nie poszukujcie mnie, proszę. Nie wiedzie mi się w naukach, więc idę w świat. Dam sobie radę, nie lękajcie się o mnie. Gdy kiedyś wrócę do was będziecie ze mnie dumni. — Żegnajcie ojcze, mamo i Bessie.

Joe".

Położył kartkę na widocznem miejscu; wziął paczkę do ręki i, rzuciwszy na pokój ostatnie, pożegnalne spojrzenie, wyszedł.

CZĘŚĆ II.

ROZDZIAŁ VIII.

Lisek z Frisco i nowicjusz.

Lisek z Frisco był niezadowolony i mocno poirytowany. Chłopcy, którzy siedzieli w dokach i łowili ryby, nie uwierzyliby w to nigdy. Uważali małego marynarza za istotę najszczęśliwszą pod słońcem i zazdrościli mu z całego serca.

Mieli wprawdzie kochających rodziców, nosili ładniejsze od Liska ubrania, lecz życie ich w domu było takie jednostajne i monotonne; Lisek zaś swobodnie pływał po zatoce i przeżywał ciekawe przygody w towarzystwie dorosłych mężczyzn. Nie przypuszczali więc chłopcy, że Lisek, patrząc na nich z kokpitu „Błyska", zazdrościł im tego właśnie, co uważali za nieprzyjemne i co czasem dokuczało im nieznośnie. Spragnieni przygód, chłopcy przeżywali w wyobraźni bohaterskie czyny

wśród nieznanych krain, Lisek zaś fantazjował na temat życia rodzinnego. Najmilszemi były mu marzenia o tem, czego nie zaznał: o braciach i siotrach, o radach ojca i pocałunkach matki.

Teraz był w bardzo złym humorze. Zszedł z dachu kajuty, gdzie wygrzewał się na słońcu, zrzucił wysokie gumowe buty, rozciągnął się na pokładzie i zanurzył nogi w chłodnej wodzie.

„To się nazywa swoboda": — myśleli chłopcy, obserwując go z brzegu. Najbardziej podobały im się owe morskie buty, sięgające do bioder i przypinane do rzemiennego pasa. Nie wiedzieli, że należały one nie do Liska z Frisco, lecz do Pete Le Maire i były dla chłopca trzy razy zaduże. Nie domyślali się także jak ciężko było je nosić w upalne, dni letnie. Lisek miał wyraźną przyczynę do niezadowolenia; bynajmniej jednak nie to, że chłopcy obserwowali go z brzegu.

Na „Błysku" brakowało od niejakiego czasu jednego majtka — chłopiec więc miał roboty za dwóch. Nie sprzeciwiał się, gdy chodziło o gotowanie, mycie pokładu, pompowanie wody, lecz stanowczo nie chciał szorować garnków i myć naczyń. Uważał, że ma już prawo być zwolnionym od podobnej „czarnej roboty". Było to dobre dla żółtodziobów; on zaś umiał coś więcej: umiał podnosić i opu-

szczać żagle, zarzucać kotwicę, wiosłować, holować do brzegu.

— „Baczność".

Pete Le Maire, czyli tak zwany Francuz Pete, kapitan „Błyska", pan życia i śmierci Liska z Frisco, wrzucił do kokpitu niewielki pakunek i wszedł na statek.

— „Dalej-że! Śmiało" — krzyknął na właściciela zawiniątka, młodego chłopca, który zatrzymał się na przystani.

Pokład „Błyska" był o jakie 15 stóp niżej od brzegu i chłopiec nie mógł dostać ręką do stalowej poręczy, przy pomocy której schodziło się na statek.

— „Raz, dwa, trzy..." — liczył Francuz Pete z dobrodusznym uśmiechem, tak charakterystycznym dla kapitanów, którym brakuje marynarzy.

Chłopiec rzucił się naprzód całem ciałem i chwycił za poręcz. Za chwilę stał na pokładzie, rozcierając bolące od wysiłku ręce.

— „Lisek, patrz, to jest nowy majtek" — rzekł Pete. — „Pozwól go przedstawić". — „Pan Joe Bronson" — dodał jakby dla wyjaśnienia i uśmiechnął się odchodząc.

Chłopcy, milcząc, patrzyli na siebie. Byli mniej więcej w równym wieku, lecz nowoprzybyły wyglądał zdrowiej i silniej.

Lisek z Frisco pierwszy wyciągnął rękę na powitanie.

„Masz widzę zamiar pływać, co?" — zapytał.

Joe Bronson skinął potakująco głową, ciekawie rozejrzał się dokoła i rzekł:

— „Tak" — „Myślę, że życie w zatoce przyniesie mi duże korzyści. Później, gdy się wprawię, popłynę dalej na przodzie okrętu".

„Na czem?"

— „Na przodzie okrętu, tam gdzie zwykle jeżdżą marynarze" — rumieniąc się dodał Joe. Nie był pewien czy dobrze się wyrażał.

„Aha! na dziobie statku" — rzekł Lisek. — „Czy masz trochę pojęcia o morzu? co?

„No tak... niebardzo... tyle co czytałem w książkach".

Lisek z Frisco gwizdnął pogardliwie, obrócił się na pięcie i poszedł do kajuty.

— „Będzie pływał po morzu na przodzie okrętu!" — mruczał rozpalając ogień i biorąc się do gotowania kolacji.

— „Myśli, że mu się to spodoba ha! ha! ha!

Francuz Pete tymczasem oprowadzał nowoprzybyłego chłopca po statku, pokazując mu go niby drogiemu gościowi. Taki był przytem uprzejmy i grzeczny, że Lisek, który wysunął głowę przez lukę, by zawołać na kolację, mało nie udusił się ze śmiechu.

Joe z zachwytem spożywał kolację. — Jedzenie było proste, lecz smaczne. Świeże,

morskie powietrze i żeglarskie otoczenie dodawały apetytu.

Kajuta była czysta i miła; niezbyt wielka, ale wygodna. Joe dziwił się w duchu jak każdy kącik był umiejętnie wyzyskany. — Stół przytwierdzony zawiasami do skrzynki, mieszczącej ruchomy kil, nie zajmował całej kajuty wówczas, gdy nie był potrzebny. — Pod ścianami mieściły się dwie koje, częściowo wsunięte pod pokład. Na kojach leżały zwinięte koce; chłopcy siedzieli na posłaniach podczas jedzenia. Ruchoma lampa morska, z błyszczącej, starannie wyczyszczonej miedzi, oświetlała kajutę wieczorem. W dzień światło wpadało do wnętrza przez cztery illuminatory — okrągłe okienka z grubego szkła, umieszczone w ścianach kajuty.

Po jednej stronie drzwi stał piec i paka z węglem, po drugiej — kredens. Frontową ścianę kajuty — zdobiły dwa karabiny i dubeltówka. Na koji Francuza Pete, z pod zwiniętego koca, wysuwał się pas z nabojami i para rewolwerów.

Wszystko to wydawało się Joemu jakimś cudownym snem. — Śnił już tak nieraz, dziś jednak sen stał się rzeczywistością. Miał wrażenie, że obu swych towarzyszy zna od wieków. Francuz Pete uśmiechał się życzliwie, patrząc na chłopca przez stół. Prawdę mówiąc, fizjognomja Francuza była okropna,

Joe pocieszał się jednak, że sprawiło to działanie słońca i wiatrów.

Lisek z Frisco opowiadał w czasie jedzenia o ostatniej burzy, jaką „Błysk" przetrzymał. Joe z coraz większym szacunkiem patrzył na chłopca, który tyle czasu był na morzu i znał je tak dobrze. Tymczasem kapitan wypił jedną szklankę wina, potem drugą i trzecią, aż poczerwieniał cały i, rzuciwszy się na derę, głośno zachrapał.

— „Połóż się tu i prześpij ze dwie godziny" — grzecznie powiedział Lisek, wskazując na koję.

— „Resztę nocy spędzimy zapewne na nogach".

Joe usłuchał, położył się, lecz nie zasnął tak prędko, jak jego towarzysz.

Leżał z szeroko otwartemi oczami, śledząc wskazówki budzika, wiszącego w kajucie i myślał z jaką szybkością biegły wypadki w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

Dziś rano był sobie zwykłym uczniem, a teraz jest majtkiem i jedzie na „Błysku" sam nie wiedząc dokąd.

Zdawało mu się, że zamiast piętnastu ma conajmniej ze dwadzieścia lat. Poczuł się odrazu nietylko mężczyzną, lecz prawdziwym marynarzem.

Oh! jak bardzo pragnął, żeby Fred i Charley

zobaczyli go w tej chwili. — Zresztą usłyszą jeszcze o nim.

Widział ich prawie jak mówili, otoczeni gromadką uczniów.

— „A kto to taki?" —

— „To Joe Bronson; on był na morzu. — Żyliśmy kiedyś ze sobą w wielkiej przyjaźni".

Chłopiec z dumą wyobrażał sobie takie sceny.

Pomyślawszy o matce, która się pewnie niepokoi o niego, Joe westchnął; gdy jednak wspomniał ojca — zaciął się na nowo.

„Ojciec jest dobry i kochany" — myślał. — „Nie rozumie jednak wcale młodych chłopców" —

— „Dziś rano powiedział mi, że życie nie jest zabawką, a chłopcy, którzy tak sądzą, popełniają wielki błąd i że szczęśliwi będą, gdy znajdą się znów w domu.

Wiem, że na świecie dużo jest ciężkich przeżyć i przykrych doświadczeń, lecz chłopcy mają też pewne prawa.

„Pokażę ojcu, że sam dam sobie radę. Napiszę nawet do domu, gdy się nieco oswoję z nowem życiem".

ROZDZIAŁ IX.

Na pokładzie „Błyska".

Joe obudził się w chwili, gdy jakaś łódź uderzyła o burtę „Błysku". Zdziwił się nie-

zmiernie, że nie słyszał skrzypu wioseł w dulkach. Dwóch mężczyzn przeskoczyło przez poręcz kokpitu i weszło do kajuty.

„Niech mnie djabli porwą, jeśli oni kiedy nie kipną" — rzekł jeden z nowoprzybyłych, ściągając koc z Liska, jedną ręką, w drugą zaś biorąc butelkę z winem.

Francuz Pete wysunął głowę z poza stołu i patrząc na gości zaspanemi oczyma, przywitał się z nimi.

— „A to co takiego?" — zapytał Cockney, ciągnąc Joego z koji na ziemię i oblizując lepkie od wina wargi.

— „Pasażer — hę?"

— „Nie, nie pasażer" — pośpiesznie odparł Francuz Pete. — „To nowy majtek. Bardzo dobry chłopak".

— „Mało mnie to obchodzi, czy on dobry czy zły" — odezwał się drugi z przybyłych, który dotąd nie powiedział ani słowa. Ostro spojrzał na chłopca i dodał:

— „Niech w każdym razie trzyma język za zębami".

— „A jaki będzie jego udział przy podziale" — spytał pierwszy. — „Myślę, że Bill i ja mamy równe prawa".

— „Błysk" dostanie należną mu część, jedną trzecią, jak mówiliśmy dawniej, resztę dzielimy na pięć. Pięciu ludzi, pięć części. Zgoda?"

Francuz Pete upierał się przytem, że „Błysk" ma prawo do załogi, złożonej z trzech marynarzy: Zawołał nawet Liska, aby mu przyświadczył, ten jednak wolał, by sami rozstrzygnęli tę sprawę i najspokojniej zabrał się do gotowania kawy.

Joe siedział, jak na niemieckiem kazaniu. Rozumiał jedno, że to on właśnie był powodem sprzeczki między tymi ludźmi. Pete postawił na swojem, tamci zaś mruczeli z niezadowolenia. Po wypiciu kawy wszyscy udali się na pokład.

— „Zostań w kajucie i nie właź im w drogę" — szepnął Lisek do Joego. — „Gdy skończy się ten bałagan, nauczę cię, jak trzeba się obchodzić z linami".

Serce Jogeo zabiło wdzięczniej dla obcego chłopca.

Bill i Cockney umocowali liny, Lisek rozpiął kliwer, Francuz Pete pochylił rumpel i „Błysk", pochylony przez wiatr, sunął wolno wzdłuż cieśniny. Joe słyszał jak mówiono, że nie trzeba zapalać ogni, i że należy zaciągnąć silną straż.

Rozumiał, że statek naruszył jedno z praw nawigacji, lecz nie wiedział jakie.

Ognie Oaklandu migały wzdłuż brzegu. Wkrótce sylwetki okrętów i szeregi doków poczęły rzednąć, a na ich miejsce pojawiały się ponure bagniska. Joe poznał, że wjeżdża-

no do zatoki San Francisco. Wiał lekki, północny wietrzyk. „Błysk" bezszelestnie pruł nadbrzeżne fale.

— „Dokąd jedziemy" — spytał chłopiec Cockney'a, chcąc nawiązać rozmowę, a jednocześnie zaspokoić swoją ciekawość.

— „Jedziemy do fabryki przyjaciela Billa, by zabrać stamtąd potrzebny ładunek" — odparł ów dostojny jegomość.

Joe pomyślał, że Bill nie wygląda na właściciela fabryki, nic się jednak nie odezwał, przyszedł bowiem do wniosku, że w tym nowym świecie, do którego się dostał, niejedna rzecz wyda mu się dziwną. I tak już zdradził się z nieświadomością w sprawach morskich przed Liskiem, używając wyrazu „przód okrętu", nie chciał więc nadal popełniać podobnych błędów. Wysłano go wkrótce by zgasił lampę w kajucie. „Błysk" zmienił kierunek i podążał w stronę północnego wybrzeża.

Panowała zupełna cisza, tylko Bill z kapitanem wymieniali szeptem pytania i odpowiedzi. Ustawiono statek z wiatrem, a grot i kliwer opuszczono ku dołowi.

— Daj mało — szepnął Pete do Liska, który poszedł na dziób i spuszczał kotwicę, starając się wykręcić jak najmniej liny. — Łódź „Błyska" i małą łódeczkę Cockney'a podciągnięto do burty.

— Uważajcie żeby ten smarkacz nie naro-

bił hałasu — półgłosem zakomenderował Bill, sadowiąc się w łódce wraz ze swym towarzyszem.

— Umiesz wiosłować? — zapytał Lisek z Frisco, gdy wsiedli z Joem do drugiej łódki.

Chłopiec skinął głową.

— To bierz wiosła i pracuj cicho—szepnął. Wziął drugą parę wioseł, a Francuz Pete usiadł u steru.

Joe zauważył, że wiosła były okręcone plecionką, dulki zaś obite skórą. — W tych warunkach łatwo było zachować ciszę, chyba że ktoś robił nieprawidłowe ruchy. Joe uczył się wiosłować na jeziorze Merrit miał więc dość wprawy, by tego uniknąć.

Płynęli za nurtem pierwszej łódki. Spojrzawszy na bok, Joe zobaczył, że posuwali się wzdłuż grobli, wysuniętej głęboko w morze. — Obok niej stały dwa statki z jasno świecącemi latarniami. Łódki starały się omijać smugę ich światła. Stosownie do rzeczonej przez Liska komendy, Joe zatrzymał się; przestał wiosłować. — Obie łódki, cicho jak widma, przybiły do wąskiego wybrzeża i wszyscy wyszli z nich na ląd. — Joe szedł za towarzyszami, którzy gramolili się ostrożnie na nasyp, dochodzący tutaj do dwudziestu stóp wysokości. — Znaleźli się wreszcie na szynach kolejki wąsko-torowej, idącej między ogromnemi kupami zardzewiałego żelaza. —

Żelazo leżało w wielu miejscach wzdłuż szyn. — W oddali mglisto rysowały się kontury dużego gmachu, wyglądającego na fabrykę.

Wszyscy zaczęli znosić żelazo na brzeg. Francuz Pete wziął Joego za rękę i kazał mu robić to samo, zapowiadając, by się sprawiał jak najciszej. Na brzegu oddawano żelazo Liskowi, który ładował je najpierw na jedną, potem na drugą łódkę. Gdy, wskutek ciężaru łódki zanurzyły się głębiej, chłopiec odpychał je coraz dalej, aby nie dotknęły dna — Joe pracował z zapałem pomimo, że nie rozumiał celu tej dziwnej wyprawy.

— „Dlaczego otaczają się taką tajemniczością" — myślał. — „Poco tyle starań, aby zachować ciszę" — Rozmyślał nad temi pytaniami i nagle straszne przypuszczenie powstało w jego umyśle.

Wtem na brzegu rozległ się krzyk sowy. Joe schylił się po nowy ładunek żelaza, dziwiąc się w duchu skąd wzięła się sowa w tak nieodpowiedniem miejscu. Nagle ktoś wyskoczył z za mgły i oświetlił chłopca latarką elektryczną. Światło oślepiło go tak silnie, że cofnął się w tył. Rozległ się strzał, podobny w nocy do huku armaty. Joe zrozumiał, że strzelają do niego i rzucił się do ucieczki. Nie był w stanie pozostać i rozmówić się z tym warjatem, trzymającym w ręku dymiący jeszcze rewolwer. Pędząc z całych sił ku brze-

gowi, wpadł na drugiego człowieka z latarnią, który wysunął się nagle z za kupy żelaza. Człowiek ów padł na ziemię wskutek zderzenia z Joem, podniósł się jednak zaraz i strzelał do chłopca, biegnącego na łeb na szyję w dół po nasypie.

Dopadłszy brzegu, Joe skoczył do wody i płynął w kierunku łódki. Zwrócona ona była dziobem na morze. Francuz Pete siedział przy przednich wiosłach, a Lisek z Frisco przy sterze, obaj czekali cierpliwie na Joego. Trzymali wiosła w pogotowiu, nie ruszając się z miejsca pomimo, że dwaj nieznajomi strzelali zawzięcie.

Druga łódź osiadła na mieliźnie koło brzegu. Bill starał się ją zepchnąć na wodę, wzywając pomocy Cockney'a. Ten jednak stracił zupełnie głowę i płynął z całych sił tuż za Joem.

Ledwie chłopiec wygramolił się na rufę, Cockney poszedł za jego przykładem. Łódź była już tak przeładowana, że ten nadetatowy ciężar o mało nie przyprawił wszystkich o kąpiel; wody nabrało się sporo. Tymczasem ludzie na brzegu ponownie nabili rewolwery i strzelali z coraz lepszem powodzeniem.

Alarm się wzmagał; na statkach, stojących przy molo widać było ruch, — słychać krzyki i nawoływania. Z oddali jęczał rozpaczliwie gwizdek policjanta.

— „Wynoś się stąd" — krzyknął Lisek z Frisco na Cockney'a. — „Chcesz nas potopić, czy co? Idź pomóż Billowi".
Lecz Cockney'owi zęby szczękały ze strachu; był tak zdenerwowany, że nie mógł ani poruszać się ani odezwać.

— „Wyrzuć-że tego warjata" — zawołał Francuz Pete do Liska.

W chwili, gdy to mówił, kula przebiła mu wiosło, on najspokojniej w świecie wydostał inne, zapasowe.

— „Joe, chodź-no do pomocy" — krzyknął Lisek. Joe zrozumiał o co chodzi; we dwuch wynieśli za burtę ogłupiałego ze strachu Cockney'a.

Dwie czy trzy kulki plusnęły obok niego, gdy ukazał się na powierzchni wody — w tej jednak chwili nadpłynął Bill, któremu udało się wreszcie ruszyć z miejsca, Cockney wskoczył do łódki.

— „A teraz marsz" — zakomenderował Francuz Pete. Po kilku silnych uderzeniach wioseł, łódka wydostała się ze sfery ognia i pogrążyła w ciemnościach nocy. Nabrało się w nią jednak poprzednio tyle wody, że teraz co chwila groziła zatonięciem. Podczas, gdy Francuz i Lisek wiosłowali, Joe, z rozkazu kapitana, wyrzucał żelazo za burtę. Pomogło to na krótko; gdy dopłynęli do „Błyska", łódka

przechyliła się na bok, przewróciła i reszta żelaza poszła na dno.

Joe i Lisek prawie jednocześnie wypłynęli z pod wody i gramolili się na statek, ciągnąc łódkę za linę.

Francuz Pete był już na pokładzie i pomógł im wydostać się na górę.

Podczas, gdy wylewali resztę wody z przewróconej łódki, nadjechał Bill ze swym partnerem.

Wszyscy zabrali się gorliwie do roboty. Zanim Joe się spostrzegł, grot i kliwer były podniesione, kotwica wciągnięta, a „Błysk" ruszył po cieśninie. Nawprost jednego z nadbrzeżnych bagnisk, Bill wraz z Cockne'yem pożegnali załogę „Błyska" i odpłynęli. Francuz Pete, siedząc w kajucie, klął w różnych językach swój los i szukał pociechy w kieliszku.

ROZDZIAŁ X.

Pośród rozbójników morskich.

W miarę jak oddalano się od lądu, wiatr stawał się coraz silniejszy. „Błysk" leżał prawie na burcie tak, że fale biły o poręcze kokpitu. Zapalono boczne światła.

Przy sterze siedział Lisek, obok niego Joe, który rozmyślał o wypadkach ubiegłej nocy.

Nie mógł dłużej zamykać oczu na to, co się działo. Umysł chłopca pracował gorliwie. Jeżeli popełnił coś złego, to jedynie przez nieświadomość. Więcej zaniepokoił się tem, co mogło go spotkać, niż tem, co już zaszło.

Przekonał się, że towarzysze jego byli piratami, rozbójnikami morskimi. Niejasne opowieści o ich czynach słyszał już dawniej, dziś znajdował się pośród nich i dość miał danych, by wsadzić wszystkich do więzienia. Fakt ten każe im zapewne mieć się na baczności i uniemożliwić mu ucieczkę.

Mimo wszystko Joe postanowił uciec przy najbliższej sposobności.

Rozmyślania chłopca przerwał silny szkwał który cisnął „Błyskiem" tak gwałtownie, że woda wdarła się na pokład. Lisek, zwolniwszy grot, skierował statek pod wiatr. Zaryfował żagiel, mając jedną tylko rękę wolną. Joe bezczynnie stał na pokładzie, zaś Francuz Pete smacznie spał, w kajucie. Choć pierwszy szkwał trwał krótko, o mało nie przewrócił „Błyska". Był on zapowiedzią zwiększenia się wiatru, który nadciągał z północy w coraz silniejszych podmuchach. Grot, szarpany przez wicher łomotał i trzeszczał, jak gdyby lada chwila miał się rozlecieć w kawałki. Wzburzone fale wściekle rzucały statkiem. Zapanował dziwny zamęt, lecz nawet niewprawne oczy Joego zdołały dostrzec, że wszystko

dzieje się w jakimś określonym porządku. Widział, że Lisek wie co, i jak ma robić. Patrząc na niego, chłopiec zrozumiał jedną wielką prawdę, której wielu ludzi nie zna i dlatego marnuje życie sobie i innym. Prawdą tą było poznanie swych własnych uzdolnień. Lisek wiedział do czego jest zdolny i z ufnością wykonywał powierzone mu zadanie. Był spokojny, opanowany, pracował szybko lecz dokładnie. Nic nie robił „tak sobie", aby zbyć. Refował mocno i porządnie. Wiele rzeczy mogło się zdarzyć, lecz wykonane przez niego zarefowanie przetrzymałoby ze czterdzieści podobnych szkwałów.

Po chwili zawołał Joego na dziób statku, aby z nim razem podciągnąć główny żagiel. Zarefowanie wydało się chłopcu rzeczą nader łatwą, wobec tego, co było dokonane poprzednio. Potem obaj przeszli do kokpitu. Pod kierunkiem Liska, Joe naciągnął mocniej kliwer i zapuścił kil na jedną stopę głębiej. Podnieciwszy się pracą, chłopiec zapomniał o trapiących go, nieprzyjemnych myślach.

Naśladując towarzysza, przyjął jego spokój i zimną krew. Wypełniał rozkazy Liska dobrze i prędko. Wytężyli obaj swe słabe siły przeciw nieokiełznanemu żywiołowi i razem odnieśli nad nim zwycięstwo.

Joe czuł się dumny z siebie i z towarzysza. Podszedł do Liska, stojącego przy rumplu,

a gdy wyczytał pochwałę w jego oczach, zarumienił się jak panna po pierwszym komplemencie. Zaraz jednak przemknęła mu przez głowę myśl, że ten chłopiec jest przecież złodziejem, zwyczajnym złodziejem i mimowoli odsunął się od niego.

Dotychczas Joe był starannie strzeżony przed zetknięciem z ciemną stroną życia. Nawet w książkach, które czytywał, wychwalano prawość i szlachetność, nic więc dziwnego, że przywykł patrzeć ze wstrętem na wszelkiego rodzaju przestępców. Odsunął się od Liska i milczał. Młody marynarz tak był pochłonięty prowadzeniem statku, że nie zauważył nagłej zmiany w uczuciach towarzysza.

A Joe zastanawiał się coraz poważniej nad pewnemi zagadnieniami. Myśl, że Lisek jest złodziejem, sprawiała mu dużo przykrości. Nie czuł jednak do chłopca odrazy. Przeciwnie, pociągał go on coraz bardziej; nie zdając sobie z tego sprawy, Joe miał dla Liska ogromnie dużo sympatji.

Gdyby był starszy zrozumiałby z łatwością, że w Lisku podobały mu się owe zalety, jakie chłopiec posiadał. Spokój; pewność siebie, odwaga oraz łagodny i prosty charakter.

Joe inaczej sobie tę rzecz tłomaczył. Uważał, że sam jest bardzo zepsuty i dlatego nie traktuje Liska tak, jakby na to zasługiwał. Zły był na siebie, lecz nie mógł stłumić cie-

płego uczucia, rodzącego się w nim na widok młodego pirata.

— „Skróć linę szalupy na dwie lub trzy stopy" — zakomenderował Lisek, który na wszystko miał oko.

Łódka, przywiązana do zbyt długiej liny, walczyła z falami. To zostawała daleko w tyle, to, nagle szarpnięta, ciskała się na boki w prawo i lewo, a każdej chwili groziło jej zatonięcie pod olbrzymiemi górami wodnemi, piętrzącemi się ze wszystkich stron.

Joe przelazł przez poręcz kokpitu na śliski tył pokładu i podszedł do miejsca, gdzie była przywiązana łódka.

— „Ostrożnie" — zawołał Lisek, gdy silniejszy podmuch wiatru zdradziecko przechylił „Błysk" na burtę.

— „Zostaw na betingach tylko jeden zwój liny i podciągnij ją, gdy sfolguje".

Dla nowicjusza było to zadanie nielada.

Joe rozwinął linę, zostawiając ją nawiniętą na betingach, jedną ręką podtrzymywał, drugą starał się ją skrócić.

W tej samej chwili ogromna fala zwaliła się na łódkę. Lina wyprężyła się, wysunęła chłopcu z ręki i poczęła szybko zsuwać się z pokładu.

Joe trzymał ją kurczowo, upadł na pokład, a lina ciągnęła go za sobą.

„Puszczaj! puszczaj! — krzyczał Lisek.

Joe puścił linę w ostatniej chwili, jeszcze trochę, a byłby znalazł się za burtą. Łódka szybko oddalała się od statku. Ze wstydem spojrzał na towarzysza, spodziewając się surowej wymówki za niezręczność. Lecz Lisek z Frisco uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— „Nic strasznego się nie stało. Kości mamy całe i nikt za burtę nie upadł. Lepiej stracić łódkę niż człowieka, ja przynajmniej tak sądzę. Sam jestem wszystkiemu winien, nie trzeba było ciebie tam posyłać. Zresztą jeszcze nic straconego; możemy przecież łódkę wyłowić. Opuść kil na jakie dwie stopy, a potem przyjdź tu i rób co ci każę. Tylko się nie śpiesz. Pracuj spokojnie i dokładnie.

Joe opuścił kil. Wróciwszy, dostał rozkaz, stania przy sterze.

— „Ster na burtę, pod wiatr" — krzyknął Lisek, opierając się całem ciałem na rumplu.

— „Odwróć! Dobrze! A teraz chodź pomóż mi przy grocie".

Wspólnemi siłami podciągnęli zarefowany grot; Joe zapalił się do tej roboty.

„Błysk", zwinnie niby koń wyścigowy, obrócił się na kilu, stanął dziobem pod wiatr, który jak grad załopotał po żaglach.

— „Opuść kliwer" — zakomenderował Lisek.

Joe zręcznie spełnił rozkaz. Przedni żagiel wydął się i statek zmienił hals.

Wskutek tych manewrów „Błyska", koja na której leżał spity do nieprzytomności Francuz Pete, znalazła się w położeniu odwrotnem do poprzedniego, a kapitan stoczył się na podłogę kajuty.

Lisek, zwrócony tyłem do rumpla usiłował utrzymać dotychczasowy kurs statku.

Spojrzał na kapitana z obrzydzeniem i mruknął:

— „Pies. Moglibyśmy pójść na dno, a on nie wiedziałby nawet o tem".

Dwukrotnie starali się chłopcy wrócić na to samo miejsce, wreszcie w mdłem świetle gwiazd, Joe zauważył łódkę, spokojnie kołyszącą się na falach.

— „Eh! jeszcze dość czasu" — rzekł Lisek, puszczając „Błyska" pod wiatr i osiągając stopniowo pożądany kiernek.

— „Łap!"

Joe wychylił się na burtę, chwycił pływającą linę i mocno ją przywiązał. Znowu zmienili hals i popłynęli w poprzednim kierunku.

Joemu przykro było, że narobił tyle kłopotu, lecz Lisek uspokoił go mówiąc:

„Powiadam ci, że to nic wielkiego. Wszystkim nowicjuszom zdarzają się podobne wypadki. Niektórzy zapominają o nieprzyjemnościach, jakie mieli przy własnej nauce i wściekają się potem, gdy ich uczniowie popełniają

błędy. Ale ja nigdy nie postępuję w ten sposób, gdyż pamiętam doskonale jak...

Tu Lisek opowiedział szereg własnych niepowodzeń, które zdarzyły mu się, gdy jako mały chłopiec pierwszy raz był na morzu. Wspomniał też o surowych karach, jakie go wówczas spotykały.

Umocniwszy sznurem rumpel, rozmawiali przytuleni do siebie.

— „Gdzie jesteśmy teraz" — spytał Joe, gdy mijali latarnię, stojącą na skalistym przylądku.

— „To wyspa Goat" — odparł Lisek. — „Po tamtej stronie znajduje się szkoła morska i skład min. Jest tu dużo stokfiszów, bardzo dobrze je łowić. Popłyniemy z wiatrem, miniemy wyspę i zarzucimy kotwicę; Wyspa Anioła zasłoni nas od morza. Na wyspie jest stacja kwarantannowa. Gdy Francuz Pete wytrzeźwieje, dowiemy się gdzie ma zamiar płynąć. Teraz możesz iść do kajuty i przespać się trochę. Ze statkiem sam dam sobie radę.

Ale Joe przecząco pokręcił głową. Zanadto był podniecony, aby chciało mu się spać. Nie mógł nawet myśleć o śnie, wówczas, gdy „Błysk" skakał z fali na falę, prując je dziobem i rozpryskując pianę wokoło.

Ubranie chłopca wyschło już prawie, wolał więc zostać na pokładzie i zachwycać się cudownym widokiem.

Ognie Oaklandu powoli słabły, wreszcie pozostała po nich na niebie jedynie mglista łuna. Na południu za to w górze i w dole jarzyły się miljony świateł z San Francisco. Wkrótce Joe rozróżniał wyraźnie części miasta, począwszy od wielkiego gmachu przystani, a skończywszy na wzgórzu, gdzie mieścił się telegraf.

Hen, tam wśród tej powodzi świateł i cieni znajdował się również dom chłopca. Może właśnie w tej chwili myślą o nim i niepokoją się.

Bessie już zapewne słodko śpi w swojem łóżeczku. Jakże zdziwi się jutro rano, gdy nie zobaczy brata przy śniadaniu. Joe wzdrygnął się. Zaczynało świtać. Po chwili głowa opadła chłopcu na ramię Liska. Zasnął mocno.

ROZDZIAŁ XI.

Kapitan i załoga.

— „Hej! wstawaj! Spuszczamy kotwicę" — Joe skoczył na równe nogi i osłupiał, zobaczywszy otoczenie w jakiem się znalazł. Podczas snu zapomniał o tem co przeżył, dopiero powoli wszystko wróciło do jego świadomości.

Nad ranem wiatr umilkł. Morze falowało lekko, a „Błysk" płynął spokojnie pod osłoną

skalistej wysepki. — Niebo było jasne, powietrze przesycone świeżością i rzeźwością poranka. Zmarszczona powierzchnia wody uśmiechała się do słońca, błyszczącego na wschodzie. Na południu leżała wyspa Aleutraz. Dźwięki trąb, płynące z jej licznych, uwieńczonych chatami wzgórz, witały powstający dzień. W stronie zachodu widać było Złotą Bramę, łączącą wody Pacyfika z zatoką San Francisco. Mimo całkowicie rozpiętych żagli, jakiś statek ledwie wpełzał do zatoki, korzystając ze zbliżającego się przypływu.

Widok był cudowny. Joe przetarł ciężkie od snu powieki i zachwycał się, dopóki Lisek nie posłał go na dziób, by przygotował spuszczenie kotwicy.

— „Wyciągnij z pięćdziesiąt sążni łańcucha" — komenderował. — „A potem stój i czekaj".

Lisek łagodnie skierował statek pod wiatr, odwracając kliwer.

— „Puść liny od kliwra i zabieraj się do spuszczania" — wołał na Joego.

Chłopiec zaobserwował ten manewr poprzedniej nocy, mógł więc wykonać go z powodzeniem.

„No! jazda". — „Puszczaj kotwicę!" Uważaj na obroty! Żywo!"

Łańcuch wyleciał z szaloną szybkością i „Błysk" zatrzymał się na miejscu.

Lisek pośpieszył z pomocą towarzyszowi. We dwóch opuścili grot, zaryfowali go według utartego zwyczaju, mocno związali i podstawili koziołki pod bom.

— „Masz tu wiadro" — rzekł Lisek do Joego, podając mu naczynie.

— „Umyj porządnie pokład — nie bój się wody ani brudu. Szczotka jest tutaj: Niech się wszystko błyszczy. Jak skończysz, obejrzyj łódkę, jakoś jej się w nocy szwy rozlazły. Pójdę tymczasem przygotować śniadanie".

Wkrótce woda zapluskała wesoło na pokładzie, a z komina poszedł dym, obiecujący różne smaczne rzeczy.

Joe podnosił od czasu do czasu głowę i zachwycał się cudownym porankiem. Każdy normalny, zdrowy chłopiec, cieszyłby się równie szczerze. Joe nie stanowił wyjątku. Czułby się najzupełniej szczęśliwy, gdyby nie uporczywa myśl o kompanji, w jakiej oglądał te cuda. Pamięć o tem i o pijanym Francuzie Pete, który wciąż spał w kajucie, psuła mu wrażenie chwili. Nie był przyzwyczajony do podobnych rzeczy i wstrząsało nim zetknięcie z ciemną stroną życia.

Nie uczuwał bynajmniej lęku, czego mógłby doświadczyć niejeden chłopiec o słabym cha-

rakterze, przeciwnie wzmagało się w nim pragnienie, by pozostać czystym i nie wstydzić się samego siebie.

Obejrzał się i westchnął. Dlaczego ludzie nie chcą być porządni i uczciwi? Jakże żal będzie mu opuszczać ten cudowny świat. A jednak chcąc pozostać czystym, trzeba uciekać stąd jaknajprędzej. Wypadki ubiegłej nocy zostawiły zbyt silne wrażenie w duszy chłopca.

W takim nastroju został wezwany na śniadanie. Skonstatował, że Lisek był równie dobrym kucharzem jak marynarzem, czego nie omieszkał mu powiedzieć i wykazać.

Śniadanie składało się z zupy mlecznej, befsztyków, smażonych kartofli, pysznego francuskiego chleba z masłem i kawy. Francuz Pete nie zjawił się na jedzenie, pomimo że Lisek kilkakrotnie probował go obudzić. Kapitan zamruczał coś niezrozumiałego pod nosem, otworzywszy nawpół zaspane oczy i chrapał dalej.

— „Nigdy nie można przewidzieć, kiedy dostanie podobnego ataku — rzekł Lisek w formie objaśnienia, gdy Joe skończywszy myć naczynie, — wyszedł na pokład. Nieraz przez cały miesiąc wina do ust nie weźmie, kiedyindziej nie wytrzyma nawet tygodnia".

— „Chodź, będziemy się kąpać" — rzekł,

zmieniając temat rozmowy na bardziej interesujący.

— „Umiesz pływać?"

Joe skinął głową.

— „Co tam jest" — spytał, przygotowując się do skoku. Wskazał palcem na osłoniętą zatokę wyspy, gdzie stało kilka dużych gmachów i wiele namiotów.

— „To stacja kwaratannowa" — odparł Lisek. „Z Chin przyjeżdża na statkach dużo ludzi chorych na ospę. Umieszczają ich tutaj dopóki się nie okaże, że są zdrowi i mogą być przewiezieni na ląd. Mówię ci, okropnie tam ostre przepisy, dlatego..."

Plusk! Lisek nie skończył mówić i skoczył za burtę, a Joe za nim.

Gdyby Lisek nie był urwał rozmowy w połowie zdania, Joe uniknąłby w następstwie wielu przykrych chwil.

— „Wiesz, co?" — rzekł młody nauczyciel gdy po upływie pół godziny zamierzali wyjść z wody. — „Nałapiemy ryb na obiad i położymy się spać. W ten sposób odbijemy sobie wczorajszą niedospaną noc; no co dobrze?"

Wdrapali się na pokład, urządzili wyścigi, w czasie których Joe znów znalazł się za burtą. Gdy się wreszcie wygramolił z wody, Lisek przyniósł dwie liny z dużymi hakami mocno obciążone i pudełko solonych sardynek.

— „To przynęta" — rzekł. — „Nakładaj ca-

łą". One tu połkną każdy kąsek, i przynętę i hak i wszystko, taki już mają obyczaj. Kto pierwszy nie złapie ryby, będzie je musiał potem wszystkie oczyścić.

Obciążone liny zanurzyły się w wodzie do ośmiu stóp głębokości.

Zaledwie lina Joego dotknęła dna, poczuł rzucanie się złapanej ryby. Spojrzał na Liska i zobaczył, że ma on również zdobycz nielada. Rozpoczęły się gorączkowe wyścigi, a mokre liny jak węże wiły się po pokładzie.

Lecz Lisek z Frisco więcej miał doświadczenia od towarzysza, jego więc ryba pierwsza spadła do kokpitu. W sekundę później Joe wyciągnął trzymetrowego stokfisza. — Chłopiec nie posiadał się z radości. Ryba była wspaniała. Dotychczas nietylko, że nie złowił, lecz nawet nie widział równie wielkiej sztuki.

Wrzucili znów liny do wody i za chwilę wyciągnęli powtórnie takie same okazy. Był to doprawdy królewski sport!

Joe łowiłby chętnie, dopóki nie zabrakłoby ryb w zatoce, Lisek z trudnością namówił go, by przestał nareszcie.

— „Będziemy mieli tego dobrego na trzy obiady" — rzekł. — „Daj już spokój: Im więcej wyłowisz, tem dłużej będziesz czyścił. Radzę ci, weź się do nich odrazu. A ja idę spać".

ROZDZIAŁ XII.

Joe próbuje wynieść się po angielsku.

Joe nie miał nic przeciwko temu, że Lisek poszedł spać. Przeciwnie rad był nawet, że nie on pierwszy złowił rybę, ułatwiło mu to bowiem pewien plan, który powziął pływając. Wrzucił ostatnią oczyszczoną rybę do wiadra i rozejrzał się wokoło. Stacja kwarantannowa znajdowała się zaledwie o jakie pół kilometra od statku. Widział wyraźnie żołnierza, chodzącego w tę i tamtą stronę po wybrzezu.

Po chwili wszedł do kajuty; kapitan i Lisek chrapali głośno. Chcąc zabrać pakunek z odzieżą, musiałby przejść tuż obok młodego marynarza, zdecydował więc, że wszystko zostawi na statku. Wróciwszy na pokład, podciągnął ostrożnie łódkę ku burcie, wszedł do niej, zabrawszy ze sobą parę wioseł i odbił od „Błyska". Nie chcąc robić hałasu, wiosłował początkowo bardzo słabo, stopniowo uderzał coraz silniej, wreszcie ruszył z normalną szybkością.

Gdy znajdował się w połowie odległości od statku, spojrzał za siebie. Ucieczkę można było uważać za udaną. Jeżeli nawet zauważą na statku jego nieobecność, „Błysk" nie zdąży przeciąć mu drogi. Joe obliczał, że on pierwszy dostanie się na brzeg, gdzie uda się pod

opiekę człowieka w mundurze wojsk Stanów Zjednoczonych.

Nagle usłyszał huk wystrzału. Ponieważ siedział tyłem do brzegu, nie wiedział skąd ów huk pochodzi. Za chwilę huk się powtórzył, a kulka chlupnęła w wodę o parę stóp zaledwie od wiosła, które trzymał w ręku.

Chłopiec obejrzał się wreszcie. Stojący na brzegu żołnierz mierzył wprost do niego, by strzelić po raz trzeci. Joe znalazł się w okropnem położeniu. Jeszcze parę ruchów wioseł i dostałby się na brzeg, gdzie nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Dla niewiadomych jednak przyczyn na tymże brzegu stoi żołnierz Stanów Zjednoczonych i obsypuje go ogniem.

Zobaczywszy skierowaną ku sobie lufę karabinu, Joe podniósł wiosła do góry. Łódka stanęła, a żołnierz opuścił broń i bacznie przyglądał się chłopcu.

— „Muszę się dostać na ląd! Koniecznie muszę" — krzyknął Joe.

Człowiek w mundurze przecząco pokręcił głową.

— „Puść mnie! Muszę się dostać na ląd" — powtórnie zawołał chłopiec.

Obejrzał się w stronę „Błyska".

Wystrzały obudziły widać Francuza Pete'a, bo grot był podniesiony; po chwili Joe zoba-

czył jak wciągano kotwicę, a kliwer załopotał na wietrze.

— „Tutaj nie można lądować! Tu panuje ospa" — odkrzyknął żołnierz.

— „Ale ja muszę się dostać na brzeg, koniecznie muszę! — wołał Joe, tłumiąc łkanie i biorąc wiosła do rąk.

— „Jeśli się zbliżysz, będę strzelał"—krzyknął żołnierz i podniósł karabin do ramienia.

Umysł Joe'go pracował gorączkowo. Wyspa była dość duża. Może tam dalej niema żołnierzy; może uda mu się wylądować, a wtedy wszystko jedno, złapią go, czy nie.

Groziło mu wprawdzie niebezpieczeństwo zarażenia się ospą, wolał jednak to, niż powrót do rozbójników morskich.

Wykręcił łódkę pod kątem prostym i położył się prawie na wiosłach. Zatoka była duża, a zakręt daleko.

Gdyby Joe miał więcej doświadczenia w sprawach morskich, zawróciłby łódkę w stronę przeciwną, wówczas „Błysk" zostałby do niej pod wiatrem. Płynąc z wiatrem, chłopiec bezwiednie dawał się statkowi dogonić.

Szczęście było narazie zmienne. Wiał lekki nierówny wiatr; czasem Joe oddalał się znacznie, to znów „Błysk" prawie go dopędzał. Raz, przy silniejszym podmuchu, statek podpłynął tak blisko, że miał do łódki zaledwie

ze sto yardów. Gdy jednak później nastała chwila ciszy, grot „Błyska" bezsilnie załopotał w powietrzu.

— „Chciałeś mi ukraść łódkę, smarkaczu! — ryczał Francuz Pete, wymachując strzelbą.

— „Nie uciekniesz mi ptaszku, ho! ho! Wracaj zaraz bo zastrzelę cię jak psa!"

Francuz wiedział, że żołnierz z brzegu przygląda mu się uważnie, nie odważył się więc strzelać nawet nad głową chłopca.

Joe nie myślał o tem. W swem dotychczasowem życiu nigdy nie znajdował się w ogniu; obecnie zaś w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin już po raz drugi dostawał się pod kule.

— „Raz więcej, raz mniej, czy to nie wszystko jedno" — myślał.

Nie przestał wiosłować ani na chwilę. Tymczasem Francuz Pete wściekał się ze złości, grożąc chłopcu wszelkiemi możliwemi karami, gdy dostanie go z powrotem w swoje ręce.

Lisek z Frisco zaczął się również buntować przeciw Francuzowi, co utrudniało sytuację.

— „Jak go zastrzelicie, to was z pewnością powieszą" — krzyczał.

— „Dajcie mu spokój. To dobry chłopak i nie stworzony do tego bagna, w jakiem żyjemy".

— „Co, i ty także? — zawołał Pete, nie panując nad sobą ze złości. — „Ja ci pokaże, szczurze jeden!"

Puścił się w pogoń za chłopcem, który uciekał od kokpitu do bukszprytu i z powrotem. Nagle zerwał się znów silniejszy wiatr, więc Francuz Pete poświęcił jedną pogoń dla drugiej. Dopadł do rumpla, zwolnił linę od grota i skierował statek wprost na Joego. Chłopiec wytężył wszystkie siły, by raz jeszcze probować ucieczki, wkrótce jednak wpadł w rozpacz i położył wiosła. Francuz Pete opuścił grot, okrążył bezsilną łódkę i wciągnął Joego na pokład.

— „Pss! ani słowa" — szepnął Lisek chłopcu do ucha, podczas gdy rozwścieczony Francuz biedził się nad przywiązaniem łódki.

— „Nic się nie odzywaj" — mówił Lisek dalej. — „Niech się stary wykrzyczy jak ma ochotę, a ty ani mru, mru. Powiadam ci, tak będzie najlepiej.

Lecz anglo-saska krew zawrzała w Joem i, nie zważając na nic zawołał:

— „Słuchaj-no pan, panie Francuz Pete, czy jak cię tam zowią!"

— „Zrozum wreszcie, że muszę się stąd wydostać i wydostanę się, pamiętaj. Lepiej będzie, gdy mnie pan sam wysadzi na ląd. Jeśli tego nie zrobisz, to ja ciebie wsadzę do więzienia. Wpakuję cię, jakem Joe Bronson".

Lisek oczekiwał ze strachem skutków tej przemowy.

A Frnacuz Pete zdębiał. Ubliżono mu, tutaj, na jego własnym statku. I kto śmiał to zrobić? taki smarkacz. Coś niesłychanego! Pete wiedział, że postępuje bezprawnie, zatrzymując chłopca u siebie wbrew jego woli. Bał się jednak wypuścić go stąd z wiadomościami, jakich nabył. Grożąc, że wsadzi Francuza do więzienia, Joe powiedział przykrą prawdę.

Pete postanowił chłopca nastraszyć.

— „Ach! tak? dobrze!" — krzyczał jeszcze głośnie, niż zwykle.

— „Sam się przedewszystkiem dostaniesz do kozy, smarkaczu!"

— „Kto wiosłował zeszłej nocy co? Kto kradł żelazo? — Kto uciekał przed pogonią? Ty mówisz, że mnie wsadzisz do więzienia. He! he! he!"

— „Nie wiedziałem dlaczego robię to wszystko" — odrzekł Joe.

— „Ha! ha! ha! Powiedz sędziemu, że nie wiedziałeś" — zawołał Pete. — „W nos ci się roześmieje".

— „Mówię, że nie wiedziałem co robię" — — mężnie powtórzył Joe. — „Nie wiedziałem, że znajduję się na statku między bandytami".

Słysząc te słowa, Lisek z Frisco spochmurniał.

Gdyby Joe spojrzał na niego w owej chwili, zobaczyłby, że chłopiec oblał się gorącym rumieńcem.

— „Teraz, gdy dowiedziałem się, gdzie jestem, życzę sobie, aby mnie natychmiast wysadzono na ląd" — ciągnął Joe dalej.

— „Nie znam się na prawie, lecz umiem odróżnić zło od dobrego. Za przestępstwa, jakie popełniłem, gotów jestem odpowiadać przed każdym sędzią, co mówię, przed wszystkimi sędziami Stanów Zjednoczonych. Z panem jest trochę gorzej, panie Pete!"

— „Tak sądzisz!" — zawołał Francuz. — „Dobrze, ale ty także jesteś złodziej!"

— „Nie jestem złodziejem" — krzyczał Joe. — „I nie śmiej mnie pan tak nazywać". Chłopiec zbladł i drżał cały, lecz bynajmniej nie ze strachu.

— „Złodziej!" — szydził Francuz Pete.

— „Kłamiesz!"

Joe nie nadarmo obcował z chłopcami. Wiedział doskonale, co następuje zwykle po wypowiedzianych przed chwilą wyrazach, czekał więc bez lęku. Nie zdziwił się też bardzo, gdy, w sekundę później, wstawał z podłogi, czując szum w głowie od silnego uderzenia w nos.

— „Powtórz jeszcze raz to słowo!" — zaryczał Francuz Pete, gotując pięść do nowego ciosu.

W oczach Joego pojawiły się łzy wściekłości. Był jednak spokojny i opanowany.

— „Kłamiesz, nazywając mnie złodziejem, panie Pete" — rzekł. — „Możesz mnie nawet zabić, jeśli zechcesz, do końca jednak będę powtarzać, że kłamiesz".

— „Nie ruszcie go, nie dam bić!" — krzyknął nagle Lisek i zwinnie jak kot rzucił się na Francuza, uprzedzając powtórne uderzenie i odpychając kapitana na drugą stronę kokpitu.

— „Zostawcie chłopaka w spokoju" — powiedział po chwili; stanął między przeciwnikami, uzbrojony w ciężki, żelazny rumpel. — „Zaszliście już za daleko, kapitanie. Czy nie widzicie, stary kpie, z jakiej gliny ulepiony jest ten chłopak? Prawdę mówi! Ma rację i dobrze wie o tem. Możecie go nawet zabić, ale on nie ustąpi. Oto moja ręka, Joe!" — Wziął chłopaka za rękę i serdecznie ją uścisnął. — „Zuch z ciebie" — dodał na zakończenie. Francuz Pete uśmiechnął się drwiąco; zły blask zamigotał w jego oczach — gdy rzekł:

— „To wyście tacy? Nie znacie się na czułych słówkach. Ha! ha! ha! Przecież to nasze marynarskie żarty. No, dalej! Przebaczmy sobie i zapomnijmy o wszystkiem, dobrze?"

Wyciągnął rękę, lecz Joe nie podał mu swojej. — Lisek z zadowolenia skinął głową,

a Francuz Pete wzruszył ramionami i uśmiechając się ciągle, zszedł do kajuty.

— „Naciągnijcie grot i płyńcie do Hunter's Point'u" — zawołał z dołu.

„Ja sam przygotuję wam obiad. Zobaczycie co to będzie za jedzenie. O! bo Francuz Pete to kucharz „pierwsza klasa".

— „On zawsze taki, udaje dobrego i sam gotuje, gdy się chce przypodobać" — rzekł Lisek z Frisco, spełniając rozkaz kapitana i kładąc rumpel na miejsce. — „Ale nie trzeba mu dowierzać" — dodał po chwili.

Joe skinął głową, lecz milczał. Nie był w nastroju do rozmowy. Drżał jeszcze po przebytem wzburzeniu. Zastanawiał się, czy zachował się tak, jak należało i czy nie potrzebował się wstydzić za siebie.

ROZDZIAŁ XIII.

Zbliżenie.

Z Oceanu Spokojnego nadlatywały ostre podmuchy wiatru. „Błysk" pruł fale rajdu San Francisco, a wyspa Anioła szybko ginęła z oczu.

Niebawem znaleźli się nasi marynarze w samym środku zatoki, przeciskając się między szeregami statków, zebranych tutaj ze wszystkich stron świata.

Nieco dalej trafili na forwater, po którym chodziły promy parowe, łączące Oakland z San Francisco. Jeden z promów przechodził tuż obok „Błyska". Pasażerowie tłoczyli się u burty, patrząc ciekawie na śmiały statek z dwoma chłopcami w kokpicie. Joe, widząc roześmiane, wesołe twarze jadących, myślał z zazdrością:

„Szczęśliwi! wszyscy oni jadą do własnych domów, tylko mnie los niesie niewiadomo dokąd, zależnie od woli Francuza Pete".

Przyszła mu nagle ochota zawołać o pomoc; ocenił jednak w porę szaleństwo swego pomysłu i zdołał utrzymać się na wodzy.

Zwrócił głowę w stronę miasta. Błądząc oczyma po zadymionych wzgórzach, rozmyślał o dziwnych kolejach życia ludzkiego.

Lisek z podełba obserwował kolegę. Choć Joe nie wypowiedział głośno swych myśli, młody marynarz zgadywał je niemal dokładnie.

„Twój dom też jest tam na brzegu" — rzekł, wskazując ręką w stronę miasta.

— „Tak, Lisku" — rzekł z prostotą, —„tam jest mój dom".

— „Może mi co o nim opowiesz" — prosił młody marynarz.

Joe starał się w skróceniu opisać Liskowi dom rodzinny. Musiał jednak przytaczać coraz więcej szczegółów, gdyż chłopiec zadawał

mu bez końca najrozmaitsze pytania. Wszystko interesowało go niezmiernie; zwłaszcza co do pani Bronson i Bessie był wprost niewyczerpany w zapytaniach.

Niektóre przytem brzmiały tak zabawnie, że Joe z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

— „A gdzie jest twój dom?" — rzekł Joe, gdy nareszcie skończył opowiadać.

Lisek spochmurniał; twarz jego przybrała dziwnie ostry wyraz, którego Joe nigdy dotąd nie zauważył. Machał przytem bezmyślnie nogą i wpatrywał się uporczywie w bloki głównego masztu, choć, mówiąc nawiasem, nic nie było z nimi do roboty.

— „Dalej-że — mów śmiało" — zachęcał Joe.

— „Ja nie mam domu" — rzekł wreszcie Lisek.

Wykrztusił te cztery wyrazy prawie z trudem i zacisnął wargi w niemej rozpaczy.

Joe odczuł, że dotknął bolesnej struny w duszy chłopca, starał się więc pośpiesznie błąd swój naprawić.

— „To mi powiedz o domu, który miałeś dawniej".

Joe nie przypuszczał, by istnieli na świecie chłopcy, którzy nie posiadali domu. Nie sądzi łrównież, że pytaniem swem urazi młodego marynarza.

— „Ja go nigdy nie miałem — powtórzył Lisek smutnie.

— „Co też ty mówisz" — zawołał Joe. Ciekawość jego wzrosła do tego stopnia, że zapomniał o wszelkiej delikatności.

— „Czy i sióstr nie miałeś?"

— „Nie".

— „Ani matki?"

— „Nie pamiętam jej wcale; byłem jeszcze bardzo mały, gdy umarła".

— „A ojciec?"

— „Prawie nic o nim nie wiem — wyjechał na morze i nie wrócił".

— „Ach!" — Joe nie znalazł żadnej odpowiedzi.

Zapanowało przykre milczenie, przerywane szumem fal, bijących o dziób „Błyska".

Na tę chwilę trafił Francuz Pete. Kazał chłopcom zejść do kajuty na jedzenie, a sam zastąpił Liska przy sterze. Zjawienie się kapitana powitali obaj z uczuciem ulgi. Smutny nastrój znikł w zupełności podczas obiadu, który, stosownie do obietnicy Francuza, był doskonały.

Po obiedzie Lisek wrócił do steru, a gdy kapitan się pożywił, Joe, wedle przyjętego na statkach zwyczaju, zmył naczynia, i uprzątnął kajutę. Potem zebrali się wszyscy trzej na rufie. Francuz, chcąc dobrze chłopców usposobić, zabawiał ich opowiadaniami z życia poła-

wiaczy pereł na morzach południowych. W ten sposób spędzili popołudnie. San Francisco zostało poza nimi. Okrążywszy Hunter's Point, płynęli wzdłuż brzegów San Mateo.

W pewnym momencie Joe spostrzegł grupę cyklistów, objeżdżających skałę na trakcie San Bruno. Przypomniał sobie, jak na własnym rowerze jechał tą samą drogą. Było to najwyżej przed dwoma miesiącami, lecz chłopcu wydawało się niesłychanie dawno, tyle ważnych zmian zdarzyło się od tej pory.

Podczas, gdy jedli kolację i sprzątali naczynia, statek minął zatokę. Płynęli nawprost bagnisk, między któremi wznosi się miasto Redwood.

Równocześnie z zachodem słońca ucichł wiatr; „Błysk" wolno posuwał się naprzód. Naprzeciw niego szedł inny statek, popychany lekko przez ostatnie podmuchy wiatru.

Lisek poznał w nim odrazu „Renifera"; Francuz również to potwierdził i wydawał się uradowany wielce ze spotkania.

— „Kapitanem na „Reniferze" jest Rudy Nelson" — objaśnił Lisek towarzysza.

— „Nie masz pojęcia co to za okropny człowiek. Strach mnie zawsze oblatuje, ile razy z nim się spotkamy. Nelson ma widać coś dobrego na widoku i chce wciągnąć do roboty Francuza. Nasz kapitan najlepiej się zna na takich sprawach".

Joe słuchał i z ciekawością patrzył na zbliżający się statek. Większy nieco od „Błyska", z kształtów zupełnie był do niego podobny. Odrazu rzucało się w oczy, że przy budowie statku główną uwagę zwrócono na jego szybkość. Z wyglądu przypominał on jacht wyścigowy, dzięki olbrzymiemu grotowi, który miał trzy rzędy refów na wypadek silnego wiatru. Począwszy od górnego wiązania, a skończywszy na pokładzie, nic nie było na „Reniferze" zbytecznego lub bezużytecznego. Stały i ruchomy takelunek wskazywały, że kapitan dbał o porządek i miał duże doświadczenie żeglarskie. Statek zbliżał się powoli.

Z nastaniem mroku zarzucił kotwicę niedaleko „Błyska". Francuz Pete udał się w szalupie z wizytą do kapitana. Chłopcy wyciągnęli się na dachu kajuty i oczekiwali jego powrotu.

— „Czy lubisz takie życie na morzu?" — przerwał milczenie Joe.

Lisek oparł głowę na dłoni i rzekł:

— „Ach! różnie z tem bywa. Morze, włóczęga po świecie, swoboda, to jest cudowne, ale nie lubię..."

—„Nie lubię złodziejstwa" — dorzucił po chwili.

— „Dlaczego nie weźmiesz się do innej roboty" — zapytał Joe.

Nie chciał się przyznać sam przed sobą, że

Lisek pociągał go coraz bardziej. Czuł względem towarzysza coś z gorliwości misjonarza.

— „Wezmę się, ale jeszcze nie teraz" — odparł Lisek.

— „Najlepiej zrób to odrazu" — rzekł Joe.

— „Teraz jest czas właściwy" — przyszły mu na myśl znane wyrazy.

Doznał uczucia przykrości na myśl, że Lisek wahał się, mając w zasadzie zamiar opuścić statek.

Ale młody marynarz zapytał smutnie:

— „Gdzież pójdę? Co będę robił? Nie mam na świecie nikogo, kto chciałby mi dopomóc — zawsze tak ze mną było. Próbowałem już raz uciekać, dostałem jednak dobrą naukę — więc teraz nie będę się bardzo śpieszył.

— „Słuchaj!" — przerwał Joe. — „Jak tylko uda mi się stąd wyrwać, wrócę do domu. Przekonałem się, że ojciec miał rację. Dlaczego nie miałbyś uciec razem ze mną, do nas?"

Wyrzekł te słowa bez namysłu, prawie odruchowo, ale Lisek odczuł je natychmiast.

— „Nie wiesz sam co mówisz" — odparł.

— „Pomyśl tylko, jakby to było. Co powiedziałby twój ojciec i... wszyscy? Co pomyśleliby o mnie, co zrobiliby ze mną?"

Joe stropił się. Pod wrażeniem chwili zrobił propozycję, która, mówiąc poważnie, trudną była do przyjęcia.

Próbował wyobrazić sobie ojca. Czy przyjąłby do domu jakiegoś Liska z Frisco?

Zapominając o własnych kłopotach, Joe łamał głowę nad wynalezieniem sposobu, przy pomocy którego udałoby mu się wyrwać Liska z jego obecnego otoczenia.

— „A wolałbym śmierć, jak więzienie". — Zresztą Joe, wiesz, że jestem z innych ludzi niż ty. Nie znając wielu najprostszych rzeczy, byłbym jak ryba bez wody. Trudno — muszę jeszcze poczekać, zanim się stąd wyrwę. „Ty masz jedną tylko drogę, wracać do domu. Przy pierwszej sposobności wysadzę cię na ląd, a z Francuzem dam sobie jakoś radę".

— „O nie! na to się nie zgadzam" — gorąco zaprotestował Joe. — „Jeżeli ucieknę, nie pozwolę, abyś ty miał cierpieć przeze mnie. Nie myśl nawet o czemś podobnem. Wydostanę się stąd — zobaczysz, a jak mi się uda, chciałbym, żebyś i ty uciekł razem ze mną. Uciekniemy razem, dobrze? Już ja to jakoś później ułożę. Zgadzasz się, co?

Lisek pokręcił głową. Utkwił wzrok w usiane gwiazdami niebo i marzył o życiu, którego tak bardzo pragnął, a od którego, jak mu się zdawało, był odsunięty nazawsze. Joe leżał milcząc; głębiej niż kiedykolwiek dotychczas odczuł powagę chwili. Z „Reniferu" dochodził gwar męskich głosów, a od strony lądu płynęły po wodzie uroczyste dźwięki dzwo-

nów kościelnych. Noc letnia łagodnie otulała chłopców swą ciemną szatą.

ROZDZIAŁ XIV.

Wśród łożysk ostrygowych.

Czas i wypadki szybko biegły naprzód. Ostry głos Francuza Pete wyrwał naszych chłopców ze smacznego snu, jaki ich wreszcie zmorzył.

— „Jazda! ruszamy w drogę" — krzyczał kapitan.

— „Joe, pomóż Liskowi! Żywo! żywo!"

„A ty Lisek idź do kliwra!"

Joe niezgrabnie poruszał się wśród ciemności. Nie znał jeszcze nazw przedmiotów i nie bardzo wiedział, gdzie się co znajduje. Powoli zaczął się orjentować i wraz z Liskiem podniósł grot. Potem wyciągnęli kotwicę i rozpięli kliwer.

Zanim wrócili na rufę, zwinęli liny i doprowadzili do porządku resztę takelunku.

„Bardzo dobrze, bardzo dobrze" — chwalił Francuz Pete, gdy Joe przechodził przez poręcz kokpitu.

— „Doskonale! Będzie z ciebie dzielny marynarz".

Lisek z Frisco podniósł wieko jednej ze

skrzyń w kokpicie i pytającym wzrokiem spojrzał na Francuza.

— „Ma się rozumieć" — odparł kapitan. — „Możesz zapalić boczne światła".

Zapaliwszy w kajucie czerwone i zielone latarnie, Lisek poszedł z Joem na dziób statku, by je tam przymocować.

„Nic widać z tego nie będzie" — rzekł półgłosem do towarzysza.

— „Z czego?" — zapytał Joe.

— „No, z tej roboty, o której mówiłem ci przedtem. Myślę, że to coś bardzo ważnego i Francuz trochę się boi. Rudy Nelson nie wahałby się z pewnością, ale sam zamało zna się na rzeczy. Nie zaczyna więc, dopóki Pete nie zechce mu pomagać.

— „Gdzie jedziemy teraz?" — spytał Joe.

„Nie wiem! Chyba na pola ostrygowe —tak sądzę z kursu".

Wycieczka trwała dalej bez przygód. Zerwał się równy, lekki wiatr, który przeszło godzinę pchał „Błyska".

Później błądzili bez celu, przerzucając statek łagodnie to w jedną, to w drugą stronę.

Francuz Pete instynktownie odnajdywał kierunek. Chłopcy opuszczali i podciągali żagle. Joe podziwiał jak doskonale wiedział Francuz, dokąd mają płynąć. Chłopcu zdawało się kilkakrotnie, że zbłądzili wśród otaczających ich ciemności.

Z Pacyfiku napłynęła gęsta mgła. Statek znajdował się wprawdzie poza nią, przesłoniła mu ona jednak gwiazdy, pozbawiając w ten sposób jedynego światła.

Francuz Pete instynktownie odnajdywał kierunek drogi.

Odparł nawet chełpliwie na pytanie Joego, że „czuciem" poznaje kurs właściwy.

— „Czuję prąd, wiatr i szybkość" — objaśniał. — „Rozróżniam blizkość ziemi, czuję ją poprostu. Wierz mi, że mówię prawdę. Pytasz, jak się to robi? Zdaje mi się, że ręka moja rośnie na mile, dotyka lądu, wyczuwa go i wie, że jest on tam, a nie gdzieindziej".

Joe z niedowierzaniem spojrzał na Liska.

„Tak, to szczera prawda", — potwierdził chłopiec.

„Gdy dłużej pobędziesz na morzu, nauczysz się i ty odczuwać ziemię; a jeśli masz dobry węch — poznasz ją po zapachu".

W godzinę później, Joe zmiarkował po zachowaniu Francuza, że zbliżają się do celu podróży. Kapitan był wyraźnie zaniepokojony. Wpatrywał się uporczywie w czarną przestrzeń, spodziewając się dostrzec coś lada chwila. Joe patrzył również z natężeniem w tym kierunku, nie widział jednak nic prócz ciemności.

„Lisek — weź-no tyczkę" — rozkazał kapitan. — „Myślę, że już pora".

Młody marynarz odwiązał z dachu kajuty długą, cienką tyczkę. Stanął na wąskim pokładzie w środku statku i zanurzał coraz głębiej jeden koniec drąga.

— „Piętnaście stóp" — rzekł do Francuza.

— „Jakie dno?"

— „Muł".

„— Poczekaj chwilę i probuj nanowo".

Po upływie pięciu minut tyczka pogrążyła się w wodę.

—„Dwa sążnie" — mówił Lisek. — „Muszle".

Francuz Pete radośnie zatarł ręce.

„Dobrze, bardzo dobrze" — rzekł.

„A co, trafiłem na dobre miejsce. Ho! ho! starego nie łatwo oszukać".

Lisek z Frisco operował tyczką w dalszym ciągu. Wykrzykiwał głośno rezultaty swych badań ku wielkiemu zdziwieniu Joego, który nie mógł zrozumieć, jak mogli marynarze znać tak dokładnie dno zatoki.

„Dziesięć stóp — muszle" — wołał monotonnym głosem.

„Jedenaście — muszle; czternaście—miękko; szesnaście — muł. — Niema dna".

— „Aha! kanał!" — zauważył Francuz Pete.

Przez dłuższy czas słychać było wciąż: „Niema dna".

Wreszcie Lisek zawołał:

„Ośm stóp — twardo".

„Dość — zakomenderował Francuz Pete.

Joe odszukał liny, zdjął je z żagli — i opuścił kliwer.

Za chwilę padł nowy nowy rozkaz:

„Puszczaj!".

Kotwica zanurzyła się w wodę, pociągając za sobą niewielki kawał łańcucha.

Lisek wykręcił go z kluzu do końca i umocował.

Potem zwinęli żagle, sprawdzili czy wszystko w porządku i zeszli na dół spać.

Gdy Joe się obudził była godzina szósta rano. Chłopiec wyszedł na pokład i rozejrzał się po świecie.

Dął silny wiatr; morze było wzburzone. „Błysk", kołysząc się i rzucając na wszystkie strony, szarpał łańcuch kotwicy. Aby nie upaść, Joe chwycił za bom, który był tuż nad jego głową.

Dzień wstawał szary, ołowiany, bezsłoneczny. Niebo było ciemne od przewalających się po niem ciężkich chmur.

Joe szukał oczami lądu. Długie, wąskie, piasczyste wybrzeże rysowało się o jakie półtorej mili od statku; wzburzone fale biły o nie z łoskotem.

Nieco dalej widać było ponure bagniska, a na horyzoncie wznosiły się góry Contra Costa.

Spojrzawszy w inną stronę, Joe zobaczył mały statek, kołyszący się na kotwicy o jakie sto jardów od „Błyska". Stał on do niego z wiatrem, a gdy się nieco obrócił, Joe odczytał nazwę, wypisaną dużemi literami na rufie.

Był to ów „Latający Holender" jeden ze statków jakie Joe widział w przystani Oaklandu. Trochę w bok od „Holendra" stał „Upiór", nieco zaś dalej jeszcze z pół tuzina innych statków. Chłopiec zdziwił się, widząc je tutaj:

— „A co. nie mówiłem?"

Joe obejrzał się szybko za siebie. Francuz Pete wyszedł z kabiny i tryumfującym wzrokiem spoglądał na roztaczający się przed nim widok.

„Może źle wam wczoraj powiedziałem he? Nie oszuka się wasz stary, nie! Widzę w nocy równie dobrze, jak w dzień".

„Znam ja swoją robotę — znam" — zakończył.

Lisek,, który rozpalał w kajucie ogień, zapytał kapitana:

„Będzie burza czy nie?"

Francuz Pete rozejrzał się bacznie wokoło.

„Albo się zbierze, albo rozejdzie" — rzekł niezdecydowanie.

„Pośpieszcie no ze śniadaniem, chłopaki. Spróbujemy łowić ostrygi".

Nad kajutami statków unosiły się dymy, co

wskazywało, że wszędzie sporządzano pierwszy dzienny posiłek.

Na „Błysku" szybko załatwiono się ze śniadaniem. Później zarefowano grot i podniesiono kotwicę.

Joe był mocno zaciekawiony. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowano się wśród łożysk ostrygowych; chłopiec zastanawiał się jednak w jaki sposób można łowić ostrygi przy tak wzburzonem morzu.

Przekonał się wkrótce, jak się to odbywa.

Francuz uniósł część podłogi w kokpicie i wyjął z pod niej dwie trójkątne stalowe ramy.

Każda z ram posiadała dwa stalowe pręty calowej grubości, a na cztery stopy, długie, które schodziły się pod kątem prostym. U wierzchołka znajdowało się kółko do zaczepiania liny. Trzeci bok trójkąta, w kształcie płaskiej sztabki, zaopatrzony był w stalowe zęby. Do ramy umocowano siatkę, do której wpadały złowione ostrygi.

Przywiązawszy liny do każdej z drag, wyrzucono je na obie strony burty.

„Razem" — krzyknął Francuz Pete.

Chłopcy chwycili za liny i wyciągnęli dragę. — Sieć napełniona była szlamem, mułem i małemi ostrygami, wśród których trafiały się gdzieniegdzie większe.

Wysypano zawartość na pokład, gdzie za-

częło się sortowanie. Dragę powtórnie wrzucono do wody.

Duże ostrygi chłopcy odrzucali do kokpitu, a wszelkie śmiecie za burtę.

Na odpoczynek nie było czasu, gdyż za chwilę wyciągnięto i przesortowano drugą sieć. Nie zarzucano jej więcej, bo Francuz Pete skierował „Błyska" w inną stronę, szukając lepszego miejsca do połowu. Reszta flotylli łowiła ostrygi w podobny sposób.

Od czasu do czasu, któryś ze statków podpływał do „Błyska" na niewielką odległość. Załogi wymieniły wówczas powitania, krótkie rozmowy lub tłuste dowcipy. Praca naogół była ciężka.

Po upływie godziny, Joe czuł silny ból krzyża od natężenia, do jakiego nie był przyzwyczajony. Palce miał pokaleczone i krwawiące wskutek niezręcznego obchodzenia się z muszlami ostryg.

„Dobrze, dobrze" — mówił Francuz Pete zachęcająco. „Uczysz się szybko, wkrótce nabędziesz wprawy".

Joe uśmiechnął się gorzko w odpowiedzi. Marzył, aby czas obiadu nadszedł jaknajprędzej.

Jeżeli trafiały się lżejsze sieci, chłopcy mogli złapać nieco tchu i zamienić ze sobą parę słów.

„To jest Wyspa Szparagowa" — mówił Li-

sek, wskazując na brzeg. Tak ją przynajmniej nazywają rybacy i marynarze. Stali mieszkańcy mówią o niej: „Bay Farm". „Na prawo jest San Leandro; ale stąd go nie widać".

— „Czy byłeś tam kiedy?" — spytał Joe.

Lisek skinął głową i dał znak, aby kolega pomógł mu wyciągnąć ciężką sieć z prawej strony burty.

„Tu, gdzie jesteśmy teraz, to opuszczone łożyska ostrygowe" — dodał za chwilę, — „Nie należą do nikogo, więc piraci przyjeżdżają tutaj niby dla połowu".

„Dlaczego „niby?"

„Dlatego, że są piratami i wolą łowić na łożyskach prywatnych".

Szerokim ruchem ręki chłopiec wskazał na wschód i południo-wschód.

„O! widzisz, tam są łożyska prywatne. Jeżeli nie będzie burzy, to cała flotylla pojedzie na nie dzisiejszej nocy".

„A jak będzie burza, to co?" — spytał Joe.

„Wtedy zostaniemy tutaj i nasz Francuz będzie się wściekał ze złości. Niecierpi jak mu pogoda psuje plany. A wcale nie wygląda na to, aby się miało uciszyć. Zostać tutaj w czasie burzy byłoby źle, bo to najgorsze miejsce na całem południowo-zachodniem wybrzeżu. Francuz Pete będzie się pewnie upierać, ale warto byłoby stąd wyjść zanim zacznie dąć na dobre".

Narazie zdawało się wypogadzać. — Silny południowo-zachodni wiatr przycichł wyraźnie. Gdy stanęli na kotwicy w czasie południa, aby zjeść obiad — słońce wyjrzało z poza chmur.

„Ho! ho! znam ja tę zatokę" — mówił Lisek proroczym tonem.

„Burza szykuje się do ataku i spadnie na nas całą siłą".

„Dobrze mówisz, Lisku" — potwierdził Francuz. — „Ale „Błysk" da sobie z nią radę. Zeszłej nocy uciekał, choć była śliczna pogoda, teraz zostanie i zobaczysz, że wszystko dobrze się skończy".

ROZDZIAŁ XV.

Dzielni marynarze w niebezpiecznej przystani.

Przez całe popołudnie „Błysk" rzucał się i skakał na kotwicy. Pod wieczór wiatr zdradziecko przycichł. Ta okoliczność i przykład Francuza Pete dodały otuchy reszcie ostrygowej flotylli. Postanowiono zostać na noc w zatoce. Na wszystkich statkach obejrzano starannie umocowania kotwic i przygotowano zapasowe.

Francuz Pete kazał chłopcom wsiąść do łódki. Z narażeniem na grożące im lada chwila zatonięcie, umocowali drugą kotwicę pra-

wie prostopadłe do pierwszej. Kapitan wykręcił przezornie długi kawał liny oraz kotwicznego łańcucha.

„Błysk" cofnął się o sto lub więcej stóp, dzięki czemu łatwiej mógł ustać na miejscu.

Schowany od wiatru w kokpicie, Joe spoglądał na rozszalałą powierzchnię morza. Łożyska ostrygowe leżały w szerokiej, niczem nie osłoniętej zatoce. Wiatr miał przed sobą ze dwanaście mil otwartej przestrzeni wodnej Rzucał więc olbrzymie fale, które każdej chwili groziły statkowi zatonięciem.

Już mrok zapadał, gdy na stronie nawietrznej do „Błyska" ukazała się biała plama żagla. Rosła ona szybko w miarę zbliżania, wreszcie zarysowała się wyraźnie, jako wielki grot „Renifera".

„Ach! cóż to za głupiec" — krzyknął Francuz Pete, wybiegając z kajuty. — „W taki czas, w taki [illegible] czas! Mówię wam, że ten warjat niemnie zginie; zrobi „kaput" i tyle. „Nie będzie wtedy ani Nelsona, ani „Renifera", ani nic".

Joe spojrzał pytającym wzrokiem na Liska.

— „Racja" — odparł chłopiec. — „Nelson powinien był wziąść jeden ref; dwa byłoby jeszcze lepiej. Ale gdzie tam! Rozwinął żagle i pędzi, jak gdyby sam szatan go gonił. Nelson czasem zawiele wyprawia! Po co się tak na-

ražać? Ale taka już jego natura; pływałem z nim i znam go dobrze".

Spieniona fala niosła „Renifera" niby cudownego, olbrzymiego ptaka wprost na „Błyska".

„Nie bój się go" — ostrzegł Lisek towarzysza — „Nelson chce sprobować jak blisko może do nas podpłynąć.

Joe patrzył szeroko otwartemi oczyma na zachwycające zjawisko.

„Renifer" uniósł się dziobem do góry i skoczył tak wysoko, że ukazał całą przednią część kila. Za chwilę zanurzył się w wodę aż biała piana zalała przód pokładu. Wreszcie z szaloną szybkością przeleciał obok chłopców, a jego bom znalazł się zaledwie na stopę od takelunku „Błyska".

Stojący u steru Nelson kiwał przyjaźnie ręką i roześmiał się w twarz Francuzowi, wściekłemu za ten niebezpieczny żart.

Zaledwie „Renifer" znalazł się do „Błyska" za wiatrem, wykręcił, biorąc kierunek odwrotny. Manewrując w ten sposób nachylił się tak silnie, że znów prawie od kila ukazał swe brunatne dno.

Francuz i chłopcy myśleli, że przewróci się lada chwila; lecz wyprostował się szybko i rzucił jak szalony.

Opuszczono kliwer, a kotwicę wyrzucono za burtę.

Statek kołysał się na falach z trzepoczącym

o maszt grotem. Drugą kotwicę spuszczono w dużej odległości od pierwszej.

Zanim wykonano te wszystkie czynności, Renifer mocno stał na kotwicach.

— „Boże! co to za człowiek! Takiego jeszcze na świecie nie było" — wołał Francuz.

Oczy błyszczały mu z zachwytu nad doskonałem prowadzeniem statku. Lisek w zupełności podzielał zdanie swego kapitana.

„Ach! to niczem jacht!" — mówił, schodząc do kajuty. — „Jeszcze chyba piękniejszy i lepszy od jachtu".

Z nadejściem nocy wiatr wzmagał się coraz bardziej. Koło jedenastej osiągnął taką siłę, że Lisek nazwał go „ryczącym huraganem". Mimo to spokojnie położył się spać. Z wyjątkiem Liska nikt oczu nie zmrużył. Francuz Pete co jakiś czas wychodził lub wracał z pokładu; dwukrotnie podłużał łańcuch i linę u kotwicy.

Joe leżał pod kocem i słuchał. Nie bał się huraganu, lecz nie mógł zasnąć przy bezustannym trzasku i rzucaniu „Błyskiem". Chłopiec nie wyobrażał sobie nawet, ażeby statek mógł wytrzymać tak silne podskoki. Od czasu do czasu „Błysk" pochylał się gwałtowie; Joe myślał, że przewróci się lada chwila. Innym razem podnosił się do góry i padał na fale z szalonym łoskotem, jak gdyby dno rozbijało mu się w drzazgi.

Lisek obudził sie, uśmiechnął do Joego „O widzisz—to właśnie nazywamy „zawieszeniem". Zobaczysz co się będzie działo rano, gdy podniesiemy kotwicę. Jestem pewien, że nieieden ze statków znajdzie się na brzegu".

Powiedziawszy te słowa chłopiec obrócił się na drugi bok i zasnął.

Joe zazdrościł mu szczerze.

Około trzeciej nad ranem usłyszał jak Francuz czynił dziwny hałas. Zaciekawiony chłopiec wyjrzał z kajuty. Przy mdłem świetle chwiejącej się na wszystkie strony latarni, zobaczył kapitana, który ciągnął po pokładzie dwa duże zwoje lin — następnie przywiązał je do kotwicznego łańcucha, znacznie go w ten sposób przedłużając.

O w pół do piątej Francuz Pete rozpalił ogień, a o piątej zawołał chłopców na kawę. Po śniadaniu wszyscy trzej wyszli na pokład. Przed oczami roztaczał się widok przerażający. Nad rozszalałą powierzchnią wzburzonego morza wstawał blado-szary świt. Brzeg Wyspy Szparagowej zaledwie rysował się na horyzoncie; słychać było jednak wyraźnie łoskot bijących o niego fal. Gdy zrobiło się zupełnie jasno, przekonali się nasi marynarze, że w ciągu nocy morze zniosło ich wstecz na dobre pół mili. Podobny los spotkał resztę flotylli ostrygowej. „Renifer" stał dość niedaleko od „Błyska", „Kaprys" za nim o jakie sto

yardów, a na przestrzeni dzielącej ich od brzegu jeszcze z pięć innych rybackich statków walczyło z wichurą.

— „Dwuch brakuje" — zawołał Lisek. Podniósł lornetkę do oczu i przeszukiwał wybrzeże.

„O patrzcie! tam jest jeden" — zawołał, a przyjrzawszy się statkowi dodał:

— „To „Znak Zapytania"; niedługo rozleci się w kawałki. Myślę, że załoga dostała się już na brzeg".

Francuz Pete i Joe spojrzeli przez lornetkę. Joe widział jak na dłoni nieszczęsny statek, nad którym pastwiły się nadbrzeżne fale. Chłopiec rozróżniał nawet marynarzy, tworzących jego załogę.

— A co się stało z „Upiorem"?" — zapytał Francuz Pete.

Lisek napróżno szukał go oczami wzdłuż brzegu. Zwrócił szkła w stronę morza, gdzie w odległości pół mili dojrzał statek. Przy słabem świetle powstającego dnia zobaczył „Upiora", który spokojnie kołysał się na falach w stronie nawietrznej do „Błyska".

— „Założę się, że przez całą noc nie zniosło go nawet o sto stóp" — zawołał chłopiec, — Kotwica trafiła widać na dobre miejsce".

— „Pewnie jest tam muł" — odrzekł Francuz Pete. — „Upiór" znalazł widać niewielką przestrzeń mulistego dna. Będą mieli biedę

jak prąd zepchnie ich z tego pasa. Wiem, że mają lekkie kotwice, dobre dla mulistego dna. Radziłem, żeby zaopatrzyli się w cięższe, ale mnie wyśmieli. Daj Boże, żeby nie pożałowali tego".

Jeden ze statków, rozwinąwszy żagle, zaciekle walczył z huraganem, chcąc wyrwać się z tej otchłani pogromu i śmierci.

Przez pewien czas kapitan wraz z chłopcami śledzili go wzrokiem. Fale rzucały statkiem na wszystkie strony, tak, że ledwie mógł posuwać się naprzód.

Francuz Pete przerwał pierwszy tę obserwację i krzyknął:

„Do roboty chłopaki! Podwiążcie dwa refy u grotu; musimy się czemprędzej wydostać".

Joe z Liskiem wzięli się ostro do roboty. Nagły okrzyk przerwał im zajęcie. Rozejrzeli się wokoło. „Upiór" pędził wprost na nich z zawrotną szybkością.

Francuz Pete, zręcznie jak kot, skoczył na dziób statku; wyciągnął nóż i szybkim ruchem przeciął linę zapasowej kotwicy.

„Błysk", przechyliwszy się całym ciężarem na stronę, gdzie była główna kotwica, wykonał gwałtowny zwrot na lewo. „Upiór" rufą naprzód, przeleciał tędy, skąd przed sekundą cofnął się „Błysk".

— „Patrzcie, patrzcie, stał na czterech ko-

twicach" — wołał Joe, wskazując na cztery liny, wiszące pionowo u dzioba Upiora.

„Do dwóch lin przywiązali dragi, a na trzeciej jedzie piecyk" — żartował Lisek.

Rzeczywiście z pokładu „Upiora" dwóch chłopaków wrzuciło do morza piecyk żelazny, umocowany do liny.

„Ho! ho! Spójrzcie na Nelsona" — wołał znów Lisek.

„Wziął jeden ref; i on uważa, że dziś burza nie na żarty".

„Renifer" szedł w kierunku „Błyska", pieniąc wodę dokoła. Walczył z burzą, jak wspaniały zwierz morski. Przepływając obok „Błyska", Nelson machnął przyjaźnie dłonią.

Gdy chłopcy z Petem, wyciągnęli kotwicę, mniej więcej po upływie piętnastu minut, „Renifer" zmienił hals i szedł pod wiatr.

Francuz patrzył na niego z zachwytem — rzekł jednak złowieszczo:

„Ręczę, że pewnego pięknego poranka Nelson zrobi „kaput". Tak, smutny będzie jego koniec".

Na „Błysku" podniesiono zarefowany kliwer i rozpoczął on zaciekłą walkę z rozszalałym żywiołem. Szamotał się i szarpał z wichurą, co było pracą powolną, ciężką a niebezpieczną. Joe dziwił się szczerze, że mały statek wytrzymywał tak silny huragan.

Nakoniec „Błysk" wydostał się na głęboką

wodę, dalej od zdradzieckich, nadbrzeżnych fal.

Podniesiono grot i statek pomknął szukać schronienia za kamienną ścianę mola Alameda, do którego było jeszcze parę mil morskich. Znaleźli już tam stojącego na kotwicy „Renifera". W ciągu kilku następnych godzin nadpłynęły i inne statki z flotylli ostrygowej — za wyjątkiem „Upiora", który znalazł się widać na brzegu w towarzystwie „Znaku Zapytania".

Wiatr cichł pod wieczór z zadziwiającą szybkością; zrobiło się pogodnie i ciepło.

„Nie bardzo mi się to podoba" — rzekł Lisek, gdy Francuz Pete popłynął łódką z wizytą do Nelsona.

„Co ci się nie podoba?" — spytał Joe.

„A no ta pogoda" — odparł chłopiec —„Jakoś zaprędko się uspokoiło. Pokaże nam jeszcze wicher co umie. „Tylko patrzeć jak wybuchnie; już ja go znam".

„Dokąd popłyniemy" — spytał Joe. — „Czy znów do łożysk ostrygowych?"

Lisek pokręcił przecząco głową.

„Nie wiem co teraz Francuz zrobi. Jakoś nie udało mu się ani z ostrygami, ani z żelazem. Widzę, że zniechęcony jest do wszystkiego; może porwie się na jakie szaleństwo. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybyśmy popłynęli z Nelsonem do Redwood City, gdzie się ma

stać ta wielka rzecz, o której ci wspomniałem".

—„ Niech się stanie, ale ja nie będę w niej brał udziału" — gorąco zaprotestował Joe.

— „Pewnie!" — potwierdził Lisek. — „Myślę, że Francuz nie będzie cię potrzebował, ma przecież Nelsona i jego ludzi".

ROZDZIAŁ XVI.

Drewniana skrzynka Liska.

Jeszcze z godzinę po rozmowie chłopcy leżeli na dachu kajuty. Wreszcie Lisek, nie mówiąc ani słowa, zszedł na dół rozpalać ogień. Joe słyszał, że chłopiec kręcił się po kajucie i czegoś szukał. Po długiej przerwie, Lisek półgłosem zawołał na kolegę. Joe zbiegł do kajuty. Lisek siedział na koji z drewnianą, marynarską skrzynką na kolanach, w ręku trzymał starannie złożoną kartkę ilustrowane dziennika.

„Czy „ona" podobna jest do tej dziewczynki" — zapytał, podsuwając Joemu kartkę, aby mu pokazać obrazek.

Ilustracja przedstawiała dwie dziewczynki i chłopca. Stali wszyscy troje w staroświecko urządzonym pokoju i rozmawiali o czemś z zajęciem. Jedna z dziewczynek, która widać coś

opowiadała, zwrócona była do widza twarzą, tamci zaś dwoje plecami.

— „Kto czy podobny?" — zapytał Joe, patrząc ze zdziwieniem na obrazek i na Liska.

— „Twoja siostra... Bessie"...

Imię to wymówił Lisek z trudem i z szacunkiem, jak gdyby wyrażało ono coś niemal świętego.

Joe zmieszał się na chwilę. Nie znajdował najmniejszego związku między tem wszystkiem. Dziewczęta uważał dotąd za stworzenia tak niemądre, że szkoda im było poświęcać czasu i uwagi.

„Czemu on taki czerwony" —pomyślał, patrząc na Liska, który rzeczywiście zaczerwienił się po uszy.

Chłopcu przyszła nagle wielka ochota do śmiechu, lecz zapanował nad sobą.

„Nie wyśmiewaj się tylko ze mnie Joe" — zawołał Lisek, wyrywając kartkę z rąk kolegi i drżącemi rękami kładąc ją z powrotem do skrzynki.

— „Widzisz, myślałem, że mnie zrozumiesz, że potrafisz pojąć"... — dodał już nieco spokojniej.

Wargi mu drżały, a oczy stały się wilgotne; odwrócił je pospiesznie.

Joe usiadł przy towarzyszu i serdecznie objął go za szyję. Zrobił to odruchowo, nie myśląc co czyni. Tydzień temu nie wyobra-

żałby nawet siebie w podobnej sytuacji. Przytulać jakiegoś chłopca — także coś! Dziś uznał to za rzecz najnaturalniejszą w świecie. Nie bardzo wprawdzie rozumiał co właściwie zaszło, czuł jednak, że to coś ma dla Liska znaczenie niezwykle głębokie.

„Powiedz mi Lisku o co ci chodzi" — rzekł — „Zrozumiem cię napewno".

„Nie! nie! Nie zrozumiesz; ty pojąć tego nie możesz".

— „Ależ zrozumiem z pewnością. No, dalej, mów!".

Tłumiąc łzy, Lisek pokręcił przecząco głową.

„Nie wiem nawet czy ci potrafię wytłomaczyć. Dużo jest takich rzeczy, które czuję, nie umiem ich tylko słowami wypowiedzieć".

Joe zachęcająco poklepał kolegę po ramieniu, więc ten ośmielony ciągnął dalej:

„Widzisz, tak mi trudno mówić. Prawie nie znam życia na lądzie. Nigdy nie miałem ani braci, ani sióstr, ani towarzyszy zabaw. Czułem się samotny, choć długo nie zdawałem sobie z tego sprawy... I..." — wskazał ręką na piersi — zawsze brakowało mi czegoś tutaj. Czy byłeś kiedy porządnie głodny, Joe? Doznawałem podobnego uczucia, tylko głód sprawiał ból trochę inny. Długo nie rozumiałem co to znaczy. Aż pewnego dnia, o już bardzo dawno, wpadła mi do rąk ta kartka —

obrazek, na którym widać, jak dzieci rozmawiają ze sobą. Przyszło mi wówczas na myśl, że chętnie znalazłbym się na ich miejscu. Myślałem, co też te dzieci robią, o czem mówią i wtedy zrozumiałem, że mój dotychczasowy smutek pochodził z samotności. Najbardziej ze wszystkich interesowała mnie dziewczynka, która patrzy z obrazka wprost na widza. Ciągle myślałem o niej, aż wreszcie zdawało mi się, że żyje ona naprawdę. Rozumiałem naturalnie, że to tylko w mojej wyobraźni, często jednak miałem wrażenie, że ją znam. Jeżeli myślałem o ludziach, o pracy, o mojem ciężkiem życiu, wiedziałem, że tamto jest tylko fantazją; gdy jednak przyszła mi na myśl dziewczynka z obrazka, widziałem ją jak żywą. Doprawdy nie mogę ci tego dobrze wytłomaczyć".

Joe przypomniał sobie, że on również przeżywał w wyobraźni różne przygody na lądzie i morzach. Skinął potakująco głową; rozumiał Liska doskonale.

„Naturalnie" — mówił Lisek — „że wszystko to było moją fantazją. Miałem jednak wrażenie, że gdybym posiadał siostrę, lub przyjaciela, byłbym najszczęśliwszym na świecie. Cała ta historja z dziećmi na obrazku działa się już bardzo dawno, jak ci to zresztą mówiłem. Byłem jeszcze wtedy małym chłopcem, a Rudy Nelson dał mi moje obecne imię. Od

tamtej pory zostałem nazwany Liskiem z Frisco".

„Ale wróćmy do dziewczynki na obrazku. Wyjmowałem często tę kartkę, aby na nią popatrzeć. Jeżeli postąpiłem źle, wstydziłem się spojrzeć na nią. W miarę jak podrastałem, patrzyłem na moją dziewczynkę cokolwiek inaczej. Nieraz myślałem w ten mniej więcej sposób:"

„Co byłoby Lisku, gdybyś tak spotkał w życiu podobną panienkę? Co pomyślałaby sobie ona o tobie; czy mogłaby cię polubić i mieć dla ciebie trochę przyjaźni?"

„Postanowiłem wówczas, że będę coraz lepszym, że będę się starał tak postępować, aby ani ona, ani nikt z jej świata nie wstydził się znajomości ze mną".

„To było powodem, że nauczyłem się czytać; dla tej samej przyczyny uciekłem swego czasu ze statku. Młody grek, Nicky Perrata pokazał mi litery. Gdy umiałem czytać, zrozumiałem na czem polegało życie piratów. Odkąd siebie zapamiętam, przyzwyczajony byłem do kradzieży. Przecież wszyscy moi znajomi żyli w ten sposób. Jak tylko zrozumiałem, że to co robię jest złem, uciekłem ze statku, chcąc znaleść inne zajęcie. Kiedy indziej opowiem ci jak to było i dlaczego powróciłem do marynarskiego życia".

„Bardzo dużo myślałem o owej dziewczyn-

ce z obrazka, zwłaszcza gdy byłem młodszy. Wyobrażałem ją sobie jak żywą i dziś jeszcze przedstawia mi się ona w ten sposób. Odkąd zacząłem z tobą rozmawiać, zrozumiałem wiele rzeczy, a moja dziewczynka ukazała mi się w innem świetle. Teraz dopiero widzę, że była ona dla mnie ideałem lepszego, czystego życia — o jakiem zawsze marzyłem. Gdybym żył tak jak ty, poznałbym i takie dziewczynki i wielu innych ludzi, podobnych do ciebie. Byłem ogromnie ciekaw ciebie i twojej siostry; dlaczego nie wiem; tak jakoś widać dużo myślałem. Joe, ty pewnie znasz wiele różnych panienek?"

Joe skinął głową.

„Opowiedz mi coś o nich, cośkolwiek", — dodał pośpiesznie, dojrzawszy wahanie w oczach towarzysza.

„Oh! to nic trudnego" — odważnie zaczął Joe. Do pewnego stopnia rozumiał ciekawość Liska; zdawało mu się, że z łatwością potrafi zaspokoić jego życzenie.

„Hm! dziewczęta, jak to dziewczęta" — mówił. — „Podobne są do... no mniej więcej wszystkie podobne są do siebie".

Przerwał, czując, że opowiadanie niezbyt mu się udaje. Lisek czekał cierpliwie; na twarzy jego malowało się zaciekawienie.

A Joe tymczasem zbierał siły. Przebiegał myślą wszystkie znajome dziewczynki; te,

z któremi chodził do szkoły, siostry znajomych chłopców, przyjaciółki Bessie. Wysokie, niskie, szczupłe, tęgie, z niebieskiemi i z czarnemi oczyma, blondynki, brunetki, o kręconych i o prostych włosach. Jednem słowem całe procesje panienek najrozmaitszych typów. Niestety, nic ciekawego nie mógł o nich powiedzieć. Coprawda dziewczynką nie był nigdy, skądże mógł mieć o nich jakiekolwiek pojęcie.

„Właściwie wszystkie dziewczęta są jednakowe" — rzekł wreszcie z determinacją. „Zupełnie podobne do tych, jakie ty znasz Lisku" — dodał. — „Ręczę ci za to".

„Ależ ja nie znam ani jednej" — zawołał Lisek.

Joe gwizdnął przeciągle.

— „Co? Nie znałeś nigdy żadnej dziewczyny?".

„Znałem jedną; nazywała się Carlotta Gispardi, ale ona nie umiała mówić po angielsku, a ja nie umiałem po duńsku. Zresztą Carlotta już nie żyje".

„Wiesz, Joe, mnie się zdaje, że choć nie znam dziewcząt, więcej wiem o nich niż ty".

„Tak jak ja o morskich przygodach; stanowczo więcej wiem od ciebie".

Roześmieli się obaj serdecznie.

Joe zamyślił się głęboko. Przyszło mu nagle na myśl, że nie był nigdy wdzięczny loso-

wi za to co posiadał. Kochał ojca i matkę, przywiązany był szczerze do rodzinnego domu, ale dopiero dzisiaj poznał jakiem szczęściem było posiadać siostrę, przyjaciół i kolegów.

Nigdy dotychczas nie oceniał ich prawdziwie, lecz teraz, o, teraz będzie zupełnie inaczej.

Serdeczną rozmowę chłopców przerwał głos Francuza Pete, który wzywał ich obu na pokład.

ROZDZIAŁ XVII.

Lisek opowiada swe dzieje.

— „Grot w górę! Podnieść kotwicę" — krzyknął Francuz.

— „Potem jazda za „Reniferem"; bocznych ogni nie zapalać" — padł szereg krótkich, urywanych komend.

Pod naciskiem grota, „Błysk" rzucał się, skakał na kotwicy, jak niecierpliwy rumak na wędzidle.

Wreszcie, jednem silnem szarpnięciem zamulony hak oderwał się od dna — statek był wolny.

„Opuśćcie żagle!" — dyrygował Francuz.— „A teraz chodźcie na dziób, pomożecie mi przy łańcuchu. Zaraz podniesiemy kliwer".

Lisek z Frisco — adorator dziewcząt znikł w jednej chwili, pozostał tylko Lisek — żeglarz silny i odważny. Pobiegł na rufę, zmienił hals, Joe zaś podniósł kliwer i podążył do towarzysza.

W mroku, niby wielki nietoperz, przesunął się obok nich „Renifer".

— „Ach! te chłopaki; będą się grzebać całą noc" — doleciał ich okrzyk Francuza Pete, a gruby głos Nelsona zaprzeczył.

„Nie pleć głupstw, Francuzie, Lisek praktykował u mnie przy żaglach i nigdy nie potrzebowałem się wstydzić za niego".

Pomimo, że „Renifer" był statkiem znacznie szybszym od „Błyska", chłopcy nie tracili go z oczu. Ustawiono na nim w ten sposób żagle, że nie wyzyskiwały one należycie wiatru.

Wiatr był zachodni, równy, lecz zdawał się zwiększać coraz bardziej. Szybko mknące gromady chmur co chwila zakrywały gwiazdy. Świadczyło to wyraźnie, że w górnych warstwach atmosfery był silny prąd powietrza. Lisek spojrzawszy na niebo rzekł:

— „Przed nadejściem rana będzie dęło porządnie; dawno już to przepowiadałem".

Po upływie kilku godzin, oba statki podeszły do San Mateo i zarzuciły kotwice nie dalej jak o sto sążni od brzegu. Była tam nie-

wielka, pusta zatoka. Prawie na jej krańcu stał na bujaku mały jacht.

Oba statki, według panującego na nich zwyczaju, gotowe były do natychmiastowego odjazdu. Na wyciągnięcie kotwicy i podniesienie żagli starczyłoby pare minut.

Od burty „Renifera" odbiły cicho dwie łódki. Rudy Nelson dał jednego ze swych ludzi Francuzowi Pete, tak, że każda łódź miała po dwóch mężczyzn. Patrząc na ludzi Nelsona, Joe pomyślał, że nie odznaczali się oni zbyt ujmującym wyglądem. Chłopiec zadrżał mimowoli na widok surowego, dzikiego wyrazu ich twarzy.

Francuz Pete włożył na siebie pas z rewolwerami, a do łodzi wrzucił karabin i mocne liny o podwójnych blokach. Przed wyjazdem nalał wszystkim wina, które wypito za pomyślność wyprawy, stojąc w ciemnej kajucie. Rudy Nelson ubrany był podobnie jak Francuz Pete — ludzie zaś jego mieli, według marynarskiego obyczaju, noże w pochwach u boku. Schodząc do łodzi, wszyscy starali się robić to jaknajciszej, Francuz Pete, zatrzymawszy się chwilę, zapowiedział chłopcom, by zachowali się spokojnie i nie wyrabiali głupich żartów.

„Ot! mielibyśmy teraz szczęście, gdyby nie zabrali łodzi" — szepnął Lisek, gdy szalupy zniknęły z oczu.

„A o „Błysku" zapomniałeś"? — usłyszał nieoczekiwaną odpowiedź.

„Zanim do trzech policzę, podniesiemy żagle i odpłyniemy" — mówił Joe.

Lisek zawahał się. Miał on silnie rozwinięte uczucie koleżeństwa, trudno mu więc było zdecydować się na porzucenie towarzyszy w niebezpiecznym momencie.

„Jakoś to niełądnie zostawiać ich na brzegu w trudnem położeniu. Coprawda — dodał pośpiesznie — sprawa ich też nie jest ładna. Ale przypomnij sobie pierwszą noc. Nie zostawiliśmy cię samego, gdy tamci z brzegu strzelali, a ty płynąłeś do nas, prawda?"

Joe przyznał częściowo rację Liskowi, lecz nowa myśl przyszła mu zaraz do głowy.

„Prawda" — odparł — „ale Nelson i Francuz są piratami. Występują przeciw prawu, my zaś obaj nie chcemy tak postępować. Zresztą oni mają „Renifera", więc złapać się nie dadzą".

„Nikt im uciekać nie broni, a nas nie dogonią w tej ciemnicy".

— „No, to jazda" — zdecydował Lisek. W zasadzie godził się z Joem, robił to jednak dość niechętnie, uważał bowiem, że popełniają dezercję.

Udali się obaj na dziób, aby podnieść grot. Linę od kotwicy mogli w razie potrzeby przeciąć, oszczędzając czas potrzebny do jej wy-

ciągnięcia. Zaledwie liny zaskrzypiały na blokach, w ciemności rozległ się ostrzegawczy głos:

— „Pss".

Później wyraźny szept:

„Cicho tam u licha!"

Spojrzawszy w kierunku skąd ów głos dochodził, chłopcy zobaczyli bladą twarz, wychylającą się z za poręczy „Renifera".

„Ech, to chłopak Nelsona" — cicho rzekł Lisek. — „Ciągnij dalej".

Bloki zaskrzypiały ponownie i natychmiast rozległo się powtórne ostrzeżenie:

„Zostawcie-no smarkacze liny w spokoju, bo pogadam z wami inaczej".

Słowom towarzyszył trzask odwodzonego w rewolwerze kurka.

Lisek usłuchał i mrucząc zszedł do kokpitu.

„Jeszcze nie raz będziesz miał miał sposobność do ucieczki" — szepnął pocieszająco.— „Ale Francuz sprytny, co? Spodziewał się, że zechcesz mu drapnąć i postawił straż".

Na brzegu tymczasem panowała kompletna cisza. Można było z tego wnosić, że piratom szczęście sprzyja.

Ani jeden pies nie zaszczekał, nie zamigotało żadne światło. Jednak powietrze przesycone było trwogą. Zdawało się, że lada chwila stanie się coś strasznego. Noc dyszała niepo-

kojem, jak gdyby gromadziła w sobie wszystkie strachy.

Chłopcy czuli to wyraźnie. Siedzieli w kokpicie, przytuleni do siebie i oczekiwali. Joe pierwszy przerwał milczenie.

„Obiecałeś mi Lisku powiedzieć o swojej ucieczce i o tem, dlaczego wróciłeś na statek"

Lisek, zniżywszy głos, zaczął opowiadać.

„Myśl porzucenia statku, niestety wówczas przyszła mi do głowy, gdy nie miałem nikogo, kto chciałby mi dopomóc. Wiedziałem, że jedną mam tylko drogę przed sobą: dostać się na ląd i znaleść możność nauki. Wyobrażałem sobie, że na wsi uda mi się to łatwiej niż w mieście. Uciekłem więc od Rudego Nelsona, pracowałem bowiem wtedy na Reniferze. Pewnej nocy, podczas postoju na ostrygowych łożyskach w Alamedzie, przedostałem się na brzeg i możliwie szybko pędziłem w stronę lądu. Nelson nie ścigał mnie wcale.

Ludność miejscowa — byli to portugalscy fermerzy. Żaden z nich nie miał dla mnie zajęcia. Coprawda i czas wybrałem nieodpowiedni, bo uciekłem w zimie. Świadczyło to wyraźnie, jak mało znałem życie na lądzie.

Miałem zaoszczędzonych kilka dolarów; kupowałem za nie chleb, ser i inne produkty, wędrując coraz dalej w poszukiwaniu roboty. Nie masz pojęcia jak okropnie było zimno

w nocy spać bez koca; tak się zawsze cieszyłem, gdy ranek nadchodził.

Najbardziej dokuczyło mi postępowanie ludzi ze mną. Wszyscy byli okropnie podejrzliwi i wcale nie starali się tego ukrywać. Czasem szczuli mnie psami lub wypędzali od siebie. Miałem wrażenie, że niema dla mnie ani kawałka miejsca na ziemi. W trakcie tego zabrakło mi pieniędzy i zacząłem głodować. Wtedy właśnie zostałem aresztowany".

„Aresztowany? za co?"

„Myślisz, że wiem za co? Chyba za to, że wogóle żyłem na świecie. Którejś nocy wdrapałem się na stóg siana, bo tam cieplej było spać. Wiejski policjant znalazł mnie i zaaresztował. Orzekli, że jestem włóczęgą. Z początku myślano, że uciekłem z więzienia, rozesłano nawet mój rysopis. Napróżno tłomaczyłem, że nie mam nikogo z blizkich — długi czas nie chciano mi wierzyć.

Wreszcie, gdy rzeczywiście nikt się po mnie nie zgłaszał, sędzia odesłał mnie do przytułku dla chłopców w San Francisco".

Przerwał opowiadanie i uważnie patrzył w kierunku brzegu — gdzie panowała głęboka ciemność i cisza. Nie było słychać nic, prócz wzmagającego się wiatru.

„Myślałem, że umrę w tym przytułku" — rozpoczął Lisek przerwane opowiadanie. — „Podobny on był do więzienia. Trzymali nas

w zamknięciu i pilnowali jak aresztantów. Gdybym był taki, jak reszta chłopców, sądzę, że mógłbym tam jeszcze jakoś wytrzymać. Większość z nich były to dzieci ulicy najgorszego gatunku. Podłe, tchórzliwe kłamczuchy, bez odrobiny wstydu i bez najmniejszego pojęcia o uczciwości. Jedną rzecz tylko miałem tam dobrą — mianowicie książki.

Przeczytałem ich mnóstwo, ale czytanie nie mogło mi wszystkiego zastąpić. Pragnąłem swobody, słońca, widoku morza. Nie rozumiałem za co trzymano mnie w tem więzieniu, między podobną zgrają. Chciałem spróbować uczciwego życia, pragnąłem stać się lepszym i oto znalazłem się w przytułku. Byłem jeszcze wtedy zbyt młody, by inaczej tę rzecz zrozumieć.

Nieraz miałem wrażenie, że widzę jak słońce igra na morzu i oświetla białe żagle. Przed oczyma stawał mi „Renifer", prujący dziobem fale. Widziałem go przed sobą, ot tak wyraźnie, jak w tej chwili.

Byłem wtedy zupełnie chory i nie wiedziałem sam co robię. Jeżeli chłopcy z przytułku zbliżali się do mnie ze swemi podłemi żartami, rzucałem się na nich i tłukłem wszystkich po kolei. Po każdej takiej awanturze dozorcy zamykali mnie w kozie i karali. Kiedyś upatrzyłem stosowną chwilę i uciekłem. Nie! nie mogłem dłużej tam pozostać. W ten sposób

przekonałem się, że nie było dla mnie miejsca na lądzie, wróciłem więc na morze i wstąpiłem na służbę do Fancuza Pete. Sprobuję uciec jeszcze raz, ale zrobię to dopiero wtedy, gdy będę trochę starszy; na tyle przynajmniej, abym mógł znaleść sobie jakąś uczciwą pracę".

— „Wrócisz na ląd razem ze mną" — zadecydował Joe, kładąc rękę na ramieniu towarzysza. — „Koniecznie musisz tak zrobić. Jeżeli chodzi o...".

Bach! rozległ się huk rewolweru. Bach! bach! padły jeden po drugim dwa dalsze wystrzały. Rozpaczliwy krzyk rozdarł powietrze i nagle ucichł. Na brzegu ktoś wzywał pomocy.

Obaj chłopcy równocześnie skoczyli na nogi, podnieśli grot i czekali sygnału do ucieczki. Chłopiec Nelsona był również w pogotowiu. Właściciel jachtu wysunął głowę przez lukę, lecz zobaczywszy dwie nieznajome łodzie, schował ją pośpiesznie. Oczekiwanie się skończyło, nadszedł czas działania.

ROZDZIAŁ XVIII.

Nowa odpowiedzialność Joego.

Joe z Liskiem podciągnęli łańcuch kotwicy tak, że ledwie zanurzał się w wodzie i odetchnęli z ulgą.

Na „Błysku" wszystko przygotowane było do ucieczki; należało tylko podnieść kliwer. Chłopcy uważnie patrzyli w kierunku brzegu.

Strzelanina i hałas ucichły, natomiast gdzieniegdzie zaczęło się ukazywać słabe światło. Wreszcie rozległ się skrzyp lin i bloków, a głos Rudego Nelsona zagrzmiał komendą:

„Puszczaj naprzód! Odpychaj!"

— „Francuz zapomniał naoliwić bloki" — zauważył Lisek.

— „Ależ marudzą" — krzyknął chłopiec z „Renifera". Siedział on na dachu kajuty i wycierał zlane potem czoło. Napracował się, biedak niemało, podnosząc sam jeden ciężki grot.

„Chyba dobrze im poszło" — rzekł Lisek.

— „Czy gotów jesteś do drogi?" — dodał, zwracając się do chłopca na „Reniferze".

— „Tak, wszystko mam w porządku" —odparł tamten.

„Hej! ludzie — uciekajcie stąd lepiej" — krzyknął właściciel jachtu, nie wysuwając głowy z kajuty.

— „Siedź cicho i zostaw nas w spokoju" — zabrzmiała odpowiedź. — „Nie kłopocz się, damy sobie sami radę. Pomyśl lepiej o własnej skórze".

— „Czekajcie no, już ja wam pokażę, niech się tylko stąd wydostanę".

— „Najprzód się wydostań, a potem bę-

dziesz gadał" — odkrzyknął chłopiec Nelsona.

Człowiek na jachcie umilkł.

— „Widzisz, ich, już są" — rzekł Lisek.

Rzeczywiście z mroku wyłoniły się dwie łódki i podeszły do burty. Głos Francuza Pete świadczył, że podczas drogi prowadzono jakiś zacięty spór.

„Nie! nie!" — krzyczał Pete — „Wyładujemy ją na „Błyska". Twój „Renifer" lata za prędko. Ucieknie mi przed nosem i tyle ją będę widział. Dawać ją na „Błyska", zgoda?

— „No, dobrze; niech już i tak będzie" — ustąpił Rudy Nelson — „Podzielimy się później, ale teraz prędzej, prędzej. Jazda na pokład chłopaki. Wciągajcie ją sami, bo ja mam rękę złamaną".

Na brzegu przygotowywano pogoń o czem świadczyły głośne nawoływania, plusk wioseł, skrzyp bloków i łopot żagli.

„Hoop!" — komenderował Nelson. — „W górę ją, wszyscy razem. A nie upuścić, bo łódkę rozbije. Dobrze; idzie, idzie. O tak! ciągnijcie powoli, a mocno. Jeszcze raz, i jeszcze raz! Zaczepcie o co linę i złapcie tchu".

Choć pracę wykonano zaledwie do połowy, wszyscy byli tak zmęczeni ogromnym wysiłkiem, że chętnie przystanęli na odpoczynek. Joe wychylił się za burtę chcąc zobaczyć ów

ciężki przedmiot. W ciemności dojrzał niewyraźne kontury ogniotrwałej kasy.

„No, chłopaki, dalej go" — wołał znowu Rudy Nelson. — „Ciągnijcie do góry wszyscy razem i nie dajcie się jej zatrzymać. Hop! hop! hop! Jeszcze raz! I jeszcze raz! W górę ją! Hop!" — Sapiąc i natężając mięśnie, załoga wciągnęła ów przykry ciężar na pokład. Przetoczyli go później przez balustradę kokpitu, a otworzywszy szeroko drzwi kajuty, wciągnęli kasę do wewnątrz i złożyli na podłodze w kącie obok skrzyni z ruchomym kilem.

Rudy Nelson poszedł sprawdzić, czy wszystko w porządku. Lewa ręka zwisała mu bezwładnie, a z palców sączyła się krew.

Kapitan zdawał się wcale tego nie spostrzegać. Nie przejmował się również burzą, jaką wywołał na brzegu, a która, sądząc po odgłosach, mogła lada chwila zagrażać obu statkom.

Zmierzając ku wyjściu, Nelson spokojnie rzekł do Francuza:

„Bierz kierunek na Złote Wrota. Postaram się płynąć obok ciebie; jeśli pogubimy się w ciemnościach, to jutro rano znajdziesz mnie za Farralonami".

Powiedziawszy to, skoczył do łodzi wraz ze swoimi ludźmi, a machając zdrową ręką krzyknął wesoło:

— „Potem jazda do Meksyku, chłopaki; tam dopiero użyjemy lata!"

Zaledwie „Błysk" podniósł kotwicę i, rozwinąwszy żagle, ruszył naprzód, gdy tuż za jego rufą ukazał się ciemny żagiel obcego statku, który omal nie wpadł na uwiązaną za „Błyskiem" łódkę. Kokpit owego statku zapchany był ludźmi; nie szczędzili oni przekleństw na widok uciekających piratów.

Joemu przyszło nagle do głowy, aby pobiec na dziób, przeciąć liny i dopomóc do schwytania „Błyska". Chłopiec, tak jak mówił dnia poprzedniego Francuzowi, nie potrzebował się niczego wstydzić, ani nie obawiał się stanąć przed sądem. Jedynie myśl o Lisku powstrzymała go od wykonania tego zamiaru. Chciał koniecznie zabrać Liska ze sobą na ląd, ale nie miał ochoty bynajmniej wpakować go do więzienia. Postanowił więc czekać lepszej sposobności do ucieczki.

Statek, goniący piratów, płynął wciąż za „Błyskiem". Wskutek panujących ciemności wpadł na jacht, który wciąż jeszcze stał na kotwicy. Właściciel jachtu, myśląc zapewne, że jemu z kolei grozi niebezpieczeństwo, wydawszy dziki okrzyk, skoczył na burtę. Przy zderzeniu się statków powstało zamieszanie, wszyscy rzucili się na ratunek człowieka z jachtu. Skorzystawszy z tego, Francuz Pe-

te wraz z chłopcami znikł w ciemnościach nocy.

„Renifera" nigdzie nie było widać; a zanim Joe z Liskiem doprowadzili wszystko do porządku na „Błysku", wypłynął on już na pełne morze.

Wiatr wzmagał się coraz bardziej. Mimo spokojnej powierzchni morza, statek przechylał się mocno.

Nie ułynęło godziny, gdy po prawej stronie „Błyska" ukazały się ognie Hunter's Point'u. Lisek zszedł do kajuty przygotować śniadanie, a Joe został na pokładzie. Patrzył na światła południowej części San Francisco i rozmyślał o swych dziwnych przygodach. Meksyk! Czyż można płynąć na małym statku aż tak daleko. Niepodobieństwo! Tak przynajmniej osądził Joe, który wyobrażał sobie, że dalekie morskie podróże dostępne są jedynie dla statków parowych lub żaglowców o pełnym takelunku. Chłopiec począł żałować, że nie popzecinał lin. Na usta cisnęły mu się tysiące pytań, które chciał zadać Francuzowi Pete; zanim jednak wymówił pierwsze słowo, kapitan kazał mu zejść na dół, wypić kawę i położyć się spać. Niezadługo przyszedł do niego Lisek. Francuz okrążył zatokę i wypłynął na pełne morze. Dwukrotnie usłyszał jak fale uderzyły o burtę statku, który go ścigał. Raz pod wiatrem do „Błyska" mignął kapitanowi

obcy żagiel. Goniący statek dojrzał widać piratów, gdyż kierując się z wiatrem, zawrócił na drugi hals. Ciemności sprzyjały jednak Francuzowi; nieprzyjacielski żagiel nie ukazał mu się więcej prawdopodobnie dlatego, że „Błysk" szedł ostrzej pod wiatr. Zaledwie zaczęło świtać, Pete wezwał na pokład mocno jeszcze zaspanych chłopców.

Dzień wstawał chłodny i szary; dął silny wicher. Joe ze zdumieniem zobaczył wyspę Anioła z białemi namiotami stacji kwarantannowej. Na południowej części horyzontu rysowały się mgliste kontury San Francisco. Zachód pogrążony był jeszcze w mrokach nocy.

Francuz Pete okrążył Raccoon Straits i z drwiącym uśmiechem patrzył na jacht, który skakał na falach o jakie pół mili za burtą „Błyska".

— „Ot! głupcy! myślą, że uda im się nas dogonić" — zaśmiał się głośno, kierując statek wprost na Złote Wrota. Jacht podążał za nimi wytrwale. Przez jakiś czas Joe śledził go wzrokiem — szedł on równolegle z „Błyskiem" i zdawał się go nawet wyprzedzać.

— „Jeśli tak dalej pójdzie, to niedługo będą nas mieli" — zawołał chłopiec.

Ale Francuz Pete nie przestawał się śmiać.

— „Myślisz, że nas dogonią! Ha! ha! ha! A ja ci mówię, że my jedziemy ciągle naprzód, oni zaś pozostają w tyle; bo my wydostajemy

się na wiatr, a jacht się przed nim cofa. Zobaczysz, co będzie dalej!"

„Z początku jacht szedł prędzej od nas" — rzekł Lisek" — ale teraz nam wiatr pomaga. Jeżeli starczy im ochoty, żeby nas ścigać dalej i tak im uciekniemy. Ale pewnie nie będzie im się chciało".

— „O patrzcie! patrzcie!".

Tuż przed statkiem piętrzyły się olbrzymie góry wodne. Podnosiły się i opadały, rozpryskając z łoskotem. Pośród tych groźnych fal przedzierał się do portu nadbrzeżny szkuner.

Zanurzał się w wodzie aż po balustradę zawalonego drzewem pokładu, a za chwilę ukazywał oślizgłe, mokre dno. Był to przepyszny widok walki człowieka z żywiołem. W obliczu niebezpieczeństwa Joe zapomniał o wszelkim trudzie; nozdrza mu się rozdymały, oczy błyszczały zachwytem.

Francuz Pete kazał sobie podać płaszcz nieprzemakalny i ceratowy kapelusz; Joe dostał również podobny garnitur.

Obaj z Liskiem zeszli na dół, by przywiązać i umocować kasę. W czasie tego zajęcia, Joe spojrzał na front kasy i przeczytał: „Bronson i Tate".

„Ach! wszak to nazwisko ojca i jego wspólnika" — pomyślał — „Więc to ich kasa; ich pieniądze!"

Przybiwszy ostatnią poprzeczkę do podło-

gi kabiny, Lisek spojrzał na Joego i pochwycił jego przerażony wyraz twarzy.

„A to ci kawał!" — szepnął — „Nazwisko twego ojca, prawdą?"

Joe skinął głową. Teraz dopiero zrozumiał wszystko. Piraci urządzili napad na San Andreas, gdzie ojciec miał duże kamieniołomy. W kasie znajdowały się zarobki przeszło tysięca robotników.

„Nikt nie powinien o tem wiedzieć" —rzekł do Liska; chłopiec przytaknął mu porozumiewawczo.

„Francuz Pete czytać nie umie, a Rudy Nelson nie będzie może wiedział twego nazwiska. W każdym razie marna to sprawa. Rozbiją kasę przy pierwszej sposobności i podzielą się pieniędzmi. Nie mam pojęcia, czy będziesz mógł temu zaradzić?"

„Poczekaj, a zobaczysz".

Joe postanowił, że zrobi wszystko, aby ocalić własność ojca. Gdyby chłopiec nie znajdował się na „Błysku", kasa byłaby bezpowrotnie stracona — będąc tutaj, miał nadzieję uratowania jej teraz lub później. Zrozumiał, że spoczywa na nim nowa i wielka odpowiedzialność. Nie dalej jak przed paru dniami Joe troszczył się tylko o siebie; po rozmowie z Lisskiem odpowiedzialność ta rozszerzyła się na przyszłe losy chłopca; później zrozumiał obowiązki względem siostry, kolegów i przyja-

ciół. Wreszcie teraz, dzięki zbiegowi nieoczekiwanych wypadków, nadeszła sposobność przysłużenia się ojcu. W głębi duszy Joe uczuł się powołanym do spełnienia tej nowej roli i postanowił dzielnie ją wykonać. Nie wahał się ani przez chwilę, choć nie wiedział co mu przyszłość przyniesie. Wszystkie te myśli i wiara w siebie umocniły jeszcze decyzję chłopca.

Odkrył i zrozumiał jednocześnie wielką prawdę życiową, która głosi, że ufność rodzi ufność, a siła — siłę.

ROZDZIAŁ XIX.

Chłopcy planują ucieczkę.

— „Oho! już się zaczyna" — zawołał Francuz Pete.

Chłopcy wbiegli do kokpitu. „Błysk" znajdował się na granicy rozszalałego żywiołu. Tuż przed nimi wznosiła się wielka na jakie czterdzieści stóp góra wodna o białym, spienionym grzbiecie. Na sekundę zasłoniła ona „Błysk" od wiatru; zdawało się, że zgniecie słaby statek, jak skorupę jajka. Joe wstrzymał oddech — nadszedł moment niesłychanego napięcia.

Francuz Pete skierował statek wprost na ową wielką falę. Jednym silnym rzutem wydostał się „Błysk" na jej stromy skłon; przez

chwilę zakołysał się na ruchomym szczycie i runął w czarną głębię.

To silnie pchając się pod wiatr, to ustępując mu nieco, statek torował sobie drogę pośród wzburzonego oceanu.

Joe miał wrażenie, że został uniesiony gdzieś hen, daleko w inny świat. — „To było życie, to prawdziwa robota" — myślał. Cóż za porównanie ze światem, w którym obracał się dotychczas.

Mijali właśnie naładowany drzewem parowiec; zebrani na pokładzie marynarze machali ceratowymi kapeluszami; nawet, stojący na mostku kapitan wyrażał zachwyt nad śmiałym stateczkiem.

„Patrzajcie, patrzajcie!" — zawołał Francuz Pete, wskazując za rufę.

Jacht stchórzył widać przed burzą, gdyż rzucał się w tył i naprzód, nie przekraczając groźnych fal. Pogoń można było uważać za skończoną. Niby spłoszony ptak przeleciał obok „Błyska" holownik, szukając schronienia przed naciągającym sztormem; minął parowiec tak szybko, jak gdyby tamten nie ruszał się z miejsca.

Po upływie godziny, „Błysk" przebył ostatnią linję niebezpiecznego wału i sunął spokojnie po długich, równych falach Pacyfiku.

Szybkość wiatru nie przestawała wzrastać. Zaszła potrzeba zarefowania kliwra i grotu.

Następnie rozpięto je ponownie i skierowano się ku Farralonom, odległym o trzydzieści mil morskich.

Zanim ugotowano i zjedzono śniadanie, napotkano „Renifera".—Dryfował z południa na zachód, odsuwając się nieco od brzegu. Ster miał podwiązany, a na pokładzie nie było widać żywej duszy. Francuz Pete utyskiwał głośno nad podobną nieostrożnością.

— „Jedyna to wada Rudego Nelsona" — mówił. — „Nigdy się o nic nie troszczy, nikogo się nie boi. Pewnego pięknego poranka zginie marnie; czuję, że taki będzie jego koniec".

Trzy razy objechali „Renifera" dokoła i trzy razy krzyczeli chórem, zanim wreszcie pojawił się ktoś z załogi na pokładzie.

Natychmiast podniesiono żagle i oba statki ruszyły razem w bezbrzeżną dal Oceanu Spokojnego.

Lisek tłomaczył Joemu, że, nim burza wybuchnie, muszą wydostać się na pełne morze; w przeciwnym razie zostaliby zniesieni aż na wybrzeże Kalifornji. Projektowano zaopatrzyć się w żywność i wodę na lądzie, skoro się tylko wypogodzi.

Lisek winszował Joemu, że nie dostał morskiej choroby; Francuz Pete chwalił go również z tego powodu i był dla młodego marynarza jaknajlepiej usposobiony.

„Wiesz, coś ci powiem" — szepnął Lisek do Joego, podczas gotowania obiadu.

„Dziś w nocy ściągniemy Francuza na dół".

„Co? ściągniemy Francuza na dół"? —spytał Joe.

— „Tak! Ściągniemy go na dół, gdy zmierzch zapadnie i mocno związemy. Potem zapalimy ognie strażnicze i będziemy uciekać do brzegu. Zatrzymamy się w jakimkolwiek porcie, a zostaniemy tam dotąd, dopóki Rudy Nelson nie przestanie nas ścigać".

„Ach! to byłoby wspaniale" — zawołał Joe — „ale tylko ja sam mogę to zrobić. Gdybyś mi pomagał, zdradziłbyś Francuza Pete".

— „Zrobimy tak: pomogę ci ten plan wykonać, ale musisz mi dać pewną obietnicę" — rzekł Lisek.

„Francuz Pete wziął mnie do siebie, gdy uciekłem z przytułku i nie miałem gdzie się podziać. Rozumiesz więc, że nie mogę przyczynić się do tego, by przeze mnie dostał się on do więzienia. Byłoby to nieuczciwie z mojej strony. Twój ojciec nie chciałby z pewnością, ażebyś złamał dane komuś słowo, prawda?"

— „O napewno, nie byłby rad z tego" — odparł Joe; wiedział jak bardzo ojciec dbał o dane przyrzeczenie.

— „W takim razie obiecaj mi, a twój ojciec

postara się o to, by przeciw Francuzowi Pete nie wszczynano oskarżenia".

— „Dobrze, ale co będzie z tobą? nie masz chyba zamiaru powrócić z Pete na pokład „Błyska".

— „Och! o mnie się nie kłopocz. Nikt się nigdy o mnie nie troszczył. Jestem silny, wiadomości mam dość, mogę więc zostać zwykłym marynarzem. Wyjadę gdzieś na koniec świata i zacznę nowe życie".

„Jeżeli tak, to przestańmy o tem mówić" — rzekł Joe.

— „O czem?"

— „O związaniu Francuza Pete i o naszej ucieczce".

— „Ho! ho! mój panie, to już zdecydowane".

— „Posłuchaj" — gorąco zaczął Joe. — „Nie wezmę w twoim planie żadnego udziału, popłynę choćby do Meksyku jeśli mi nie obiecasz..."

— „Co ci mam obiecać?..."

— „Że mi zaufasz i że, z chwilą, gdy znajdziemy się na lądzie będziesz słuchał moich rozkazów. Mówiłeś sam, że o życiu na lądzie nie masz pojęcia; z ojcem, jestem pewny, uda mi się przeprowadzić twoją sprawę. Poznasz porządnych ludzi, będziesz mógł się uczyć i zostaniesz czemś więcej niż nadbrzeżnym piratem lub marynarzem. No co, zgadzasz się?"

Lisek milczał, lecz po wyrazie twarzy mo-

żna było poznać, jak bardzo plan Joego przypadł mu do serca.

„Zresztą, nagroda słusznie ci się będzie należeć" — ciągnął dalej chłopiec — pomożesz do odzyskania pieniędzy mego ojca, będzie on więc twoim dłużnikiem".

„Nigdy tak nie robiłem" — żachnął się Lisek — „Za okazaną komuś pomoc spodziewać się nagrody? Źle myślałem o ludziach, którzy postępowali w ten sposób".

„Przestań-że się już certować" — zawołał Joe. — „Czy myślisz, że ojca mało kosztują detektywi i wszelkie poszukiwania kasy? Zgódź się i koniec! Zobaczysz; jak ci się na lądzie nie podoba, wrócisz na morze. No co? Mówię ci, że będzie doskonale".

Na zakończenie rozmowy chłopcy uścisnęli się mocno za ręce; poszli wypracowywać szczegółowy plan działania. Ale sztorm, który rozszalał na północo-zachodzie, zmienił zamiary „Błyska" i jego załogi.

Pomimo, że huragan nie osiągnął jeszcze największej siły, musiano wziąść podwójne refy u grota i kliwra.

Morze rozkołysało się mocno i przekształciło swą powierzchnię w szeregi olbrzymich gór wodnych.

Z pokładu małego statku wydawały się one jeszcze bardziej potężne i groźne. „Renifera" widziano tylko wtedy, gdy i on i „Błysk" zna-

leźli się jednocześnie na grzbietach fal. Od czasu do czasu woda wpadała do kokpitu i przez dach kabiny przedostawała się do rufy. Joe odprowadził ją stamtąd za pomocą pompy. Około trzeciej popołudniu Francuzowi udało się porozumieć z Nelsonem, że ma zamiar dryfować i opuścić kotwicę wodną.

Tak nazywano duży worek z żaglowego płótna, który miał szeroki otwór, zrobiony, z zagiętego w kształcie trójkąta drutu. Do worka przymocowano linę w ten sposób, że był on zwrócony najszerszą powierzchnią przeciw falom, co utrudniało ich działanie. Dzięki wodnej kotwicy drefujący statek utrzymywał się stale dziobem do wiatru. Była to najbezpieczniejsza pozycja w czasie sztormu. Francuz Pete poszedł na dziób statku, by opuścić wodną kotwicę. Lisek miał przesunąć ster i ustawić statek z wiatrem. Kapitan stał na śliskim pokładzie, czekając na odpowiedni moment.

Nagle „Błysk" skoczył na olbrzymią falę. W chwili, gdy znalazł się na jej szczycie, zerwał się silny wicher; statek pochylił się, ukazując dno. Miał on zbyt słabe żagle i maszty, by oprzeć się niespodziewanemu huraganowi. Rozległ się ostry trzask i łoskot. Liny i łańcuchy pękły. Maszt, kliwer, grot, bloki, sztagi, wodna kotwica i Francuz Pete — wszystko to razem poleciało za burtę.

Cudownym sposobem udało się kapitanowi chwycić za watersztagę, a ręką oprzeć na bukszprycie. Chłopcy skoczyli ku niemu, wyciągnęli z wody i umieścili w bezpiecznem miejscu. Rudy Nelson, widząc klęskę przyjaciela, skierował statek pod wiatr i pośpieszył z pomocą.

ROZDZIAŁ XX.

Niebezpieczne godziny.

Na szczęście Francuzowi Pete nic się nie stało, gdy wraz z masztem „Błyska" upadł za burtę, ale wodna kotwica, która z nim razem dostała się do wody, nie wyszła bez szwanku. Gaf grotu przedarł ją na dwoje, więc przestała spełniać swoją rolę.

Zniesione przez statek szczątki masztu tłukły o burtę i utrzymały statek w położeniu skośnem do fal. Pozycja nie była wprawdzie tak niebezpieczna, jakby się na pozór zdawało, nie należała jednak do najlepszych.

„Żegnaj stary przyjacielu", — przemawiał Francuz Pete do „Błyska".—„Nie będziesz już uciekał przed szalonym pościgiem gentlemańskich jachtów; nie oprzesz się wichrom ani burzom".

Biedny kapitan, stojąc w kokpicie, śledził wilgotnemi oczami ruiny swego statku i głośno

rozpaczał — Joe, który bynajmniej nie żywił sympatji dla Francuza, patrzył na niego ze szczerem współczuciem.

Nowy silny podmuch wichru zerwał spieniony czub fali i rzucił go na bezsilny statek.

„Czy nie da się Błyska uratować"? — spytał Joe.

Lisek potrząsnął głową.

— „A co będzie z kasą?"

„Nie pora o niej myśleć" — odparł Lisek.— „Żaden statek nie podszedłby teraz do nas, choćby mu dawano cały skarb Stanów Zjednoczonych. Dobrze musimy myśleć o tem, aby się z obecnego położenia wydostać".

Gdy to mówił, nowa fala przewaliła się ponad „Błyskiem" i rozbiła w drzazgi przywiązaną za rufą łódź, która oddawna już szła pod wodą.

Prawie jednocześnie dojrzano „Renifera" na olbrzymiej górze wodnej. Joe aż cofnął się z przerażenia; doznał uczucia, że statek lada chwila wpadnie na „Błyska", ale „Renifer" runął w ziejącą pod nim przepaść i chłopcy ujrzeli go gdzieś hen na dole. Widok był wspaniały; Joe czuł, że zapamięta go na całe życie. Statek aż do połowy pokładu, przez który waliła woda, zanurzył się w śnieżno-białej pianie.

Powietrze, przesycone rozpyloną wodą morską, nadawało otoczeniu jakiś fantastyczny charakter.

Jeden z ludzi Nelsona, czepiając się pokładu, wyciągał zalaną łódź. Chcąc podać tamtemu nóż do przecięcia liny, junga przechylił się przez poręcz kokpitu, trzymając się kurczowo jedną ręką. Inny marynarz obracał szybko kołem sterowem, zmuszając statek do ustawienia się pod wiatr. Rudy Nelson, z ręką na temblaku, stał obok sternika. Był bez kapelusza, a jego żółte, stargane przez wiatr włosy, zwisały mokremi pasmami wokoło twarzy. Z całej postaci Nelsona biła niesłychana odwaga i siła.

Joe patrzył na niego zachwyconemi oczyma i myślał z żalem jak wielkie zdolności posiadał ten człowiek i jak źle zostały one zużyte. Bandyta, złodziej!

W tej oto krótkiej chwili chłopiec poznał wielką tajemnicę — tajemnicę powodzenia ludzkiego oraz upadku. — Życie uchyliło przed nim rąbek swej zasłony; zaczynał je rozumieć i czytać w niem jak w książce.

Rudy Nelson stworzony był z podobnego materjału co i wielcy bohaterowie, tylko tamci posiadali zalety, jakich brakowało kapitanowi „Renifera". Posiadali równowagę umysłu, trzeźwy sąd o sobie i potrafili odróżnić zło od dobrego. Jednem słowem mieli te właśnie zalety, o których ojciec Joego tak często „prawił mu kazania".

Wszystkie te refleksje przemknęły przez głowę chłopca w ciągu sekundy.

„Renifer" tymczasem znów uniósł się do góry tuż przed dziobem „Błyska".

Francuz Pete, patrząc na niego z zachwytem, krzyczał:

„Warjat! Co to za warjat! Nelsonowi się zdaje, że potrafi „Renifera" wykręcić; zaraz pojadą na dno, zobaczycie. I nas jeszcze zatopią; zginiemy wszyscy; tylko patrzeć, jak się przewalą. Ach! co za szaleństwo! Co za szaleństwo!"

Nie było chwili do stracenia, Rudy Nelson probował szczęścia — udało mu się przerzucić grot i ustawić statek z wiatrem.

„Uwaga! leci na nas!" — krzyknął Lisek do Joego. — „Szykuj się do skoku!".

„Renifer" przemknął tuż obok rufy „Błyska"; nachylił się przytem silnie i zanurzył w wodę powyżej okienek kajut. Zdawało się, że zderzenie statków jest nieuniknione.

Lecz silna fala odepchnęła je od siebie.

Rudy Nelson, widząc, że plan mu się nie udał, powziął natychmiast nowy.

Obróciwszy gwałtownie ster, — zmusił statek do wykręcenia się na kilu — jego grot-bom zbliżył się do „Błyska", a Francuz Pete znalazł się tuż obok „Renifera". Trwało to najwyżej sekundę. Kapitan skoczył jak kot i obiema rękami chwycił najbliższą linę. W tej samej

chwili „Renifer" rzucił się naprzód, pociągając za sobą Francuza.

Za każdym ruchem statku Pete zanurzał się w wodzie; trzymał jednak mocno linę i wciąż się po niej posuwał, zbliżając się do pokładu „Renifera". Wreszcie dosięgnął go nogami i skoczył.

Gdy Rudy Nelson zawrócił, by manewr powtórzyć, Lisek rzekł:

„Teraz kolej na ciebie".

„O nie, na ciebie" — odparł Joe.

— „Kiedy ja lepiej znam morze niż ty" — oponował Lisek.

„Ale ja nie gorzej od ciebie pływam" — sprzeczał się Joe.

Kto miał rację w tej dyspucie, trudno było przewidzieć, gdyż zbieg wypadków sprawił, że wszelka decyzja okazała się zbyteczną. „Renifer" wykręcił na fordewind i pędził z powrotem jak szalony — nachylił się pod tak ostrym kątem, że lada chwila zdawał się wywrócić.

A sztorm wybuchł znów z nieokiełznaną siłą. Wygładzona przez wicher powierzchnia morza zdawała się wrzeć.

Nagle „Renifer" zniknął za olbrzymią falą, która przewaliła się z łoskotem. Przerażeni chłopcy napróżno szukali oczyma statku; tam gdzie był on przed chwilą, zobaczyli tylko rozwścieczone morze. Nie dowierzając sobie,

spojrzeli raz jeszcze dokoła — „Renifera" nigdzie nie było. — Pozostali samotni i bezbronni na wzburzonem łonie oceanu.

„Niech Bóg przyjmie do siebie ich dusze"— pierwszy odezwał się Lisek tonem uroczystym.

Joe tak był wstrząśnięty nieoczekiwaną katastrofą, że nie mógł przemówić ani słowa.

„Renifera" przewróciła ta ostatnia fala" — tłomaczył Lisek, — „a że miał ciężki balast, więc odrazu poszedł na dno".

— Trudno! sami musimy teraz o sobie pomyśleć" — dodał, spojrzawszy na położenie w jakiem „Błysk" się znajdował. — „Dobrze, że najgorszy moment burzy minął. Fale będą jeszcze pewnie duże, ale wiatr już cichnie. Daj mi jedną rękę, Joe, drugą trzymaj się mocno; musimy zaraz wydostać się na dziób".

Trzymając noże w rękach przedostali się na przód statku. Oplątany linami maszt, tłukł bezustannie o burtę. Lisek wziął na siebie rolę przywódcy w tej niebezpiecznej robocie, Joe, niby doświadczony marynarz, spełniał jego rozkazy.

Fale zalewały chłopców co chwila, tłukąc niemi z kąta w kąt i rzucając jak piłką.

Pomimo, że częściej znajdowali się pod wodą, niż na jej powierzchni, udało im się przywiązać część porwanych lin do betingów. Następnie, sapiąc i parskając, poprzecinali

splątane powrozy, szlagi i szkoty. Woda szybko napełniła kokpit, musieli spieszyć się bardzo, aby ich nie zalała. Wreszcie uprzątnęli wszystko z wyjątkiem takelunku od strony wiatru. Nakoniec Lisek przerąbał liny — reszty dokonała burza.

„Błysk", pędzony przez wiatr, szybko odsuwał się od miejsca katastrofy, na którem unosiły się szczątki masztu i reji. Liny naprężyły się wreszcie mocno i statek ustawił się dziobem pod wiatr.

Nie zdążyli jeszcze chłopcy odpocząć i nacieszyć się swojem dziełem, gdy musieli pędzieć na rufę. Kokpit był do połowy zalany wodą, a w kabinie wszystko pływało. Wyciągnęli dwa wiadra ze skrzyni na rufie i energicznie pompowali wodę za burtę. Była to robota niewdzięczna, bo woda wlewała się na nono; nie przestawali jednak pracować wytrwale. Pod wieczór „Błysk" kołysał się wesoło na wodnej kotwicy, dumny po raz ostatni z działalności swych pomp.

Wedle przepowiedni Liska, krytyczny moment burzy minął. Wiatr zmienił kierunek; był wciąż jeszcze dość silny, lecz wiał na wschód.

— „Jeżeli tak dalej pójdzie" — rzekł Lisek — to do jutra zniesie nas na Kalifornijskie wybrzeże. Nie mamy teraz nic lepszego do roboty, tylko czekać cierpliwie".

Chłopcy mówili niewiele, byli bowiem ogromnie wyczerpani pracą oraz przygnębieni smutnym losem „Renifera". Spragnieni ciepła i towarzystwa, przytulili się do siebie mocno.

Okropna to była noc! Spędzili ją drżąc z zimna. Na statku nie znaleźli nic suchego: żywność, koce — literalnie wszystko zostało przemoczone doszczętnie.

Od czasu do czasu chłopcom udawało się zasnąć. Te okresy snu były jednak bardzo krótkie. Jednego lub drugiego chwytał nagle silny dreszcz i mimowoli budzili się wzajemnie. Nareszcie powstał dzień. Chłopcy spojrzeli dokoła. Wiatr i fale uspokoiły się znacznie: „Błyskowi" przestało zagrażać niebezpieczeństwo. Brzeg okazał się bliżej, niż początkowo przypuszczali, jego mgliste kontury widać było wyraźnie na szarem niebie poranka.

O wschodzie słońca chłopcy ujrzeli żółtą smugę wybrzeża, wraz z bijącą o nią białą falą przypływu. Nieco dalej wznosiły się gromady domów i dymiące kominy fabryk.

Rzeczywistość wydała im się zbyt piękną.

— „Santa Cruz!" — krzyknął Lisek. — „Niema strachu, aby rozbiły nas przybrzeżne fale".

— „Więc kasę można uważać za ocaloną" — zapytał Joe.

— „Ależ tak, ocalona! Dla dużych statków ten rejd nie jest dogodny, ale nas wietrzyk zniesie wprost do rzeki Ś-tego Wawrzyńca. Jest tam coś w rodzaju niewielkiego jeziorka, a obok niego maleńka przystań. Jezioro gładkie jest jak lustro, a tak głębokie, że skryłbyś się w niem z głową. Byłem już tu raz z Rudym Nelsonem.

„No, jazda! Zdążymy w sam raz na śniadanie!".

Lisek wyciągnął kilka zapasowych powrozów, zrobił z nich martwą pętlę na linie od wodnej kotwicy i przymocował ją do betingów rufy.

„Błysk", posłuszny wiatrowi, zrobił zwrot i ustawił się dziobem do brzegu. Para zapasowych wioseł i tyleż mokrych koców wystarczyło do zrobienia improwizowanego masztu oraz żagla. Gdy z tem skończono, Joe odciął szczątki statku, które szły za rufą na linie. Lisek chwycił za ster.

ROZDZIAŁ XXI.

Ojciec i Joe.

Wprowadzono „Błyska" do maleńkiej przystani. Lisek usiadł wygodnie na niewielkim słupku i zwróciwszy się do Joego zapytał:

— „Jakże ci się tu podoba?"

„A dalej co będziemy robić, panie kapitanie?" — dodał po chwili.

Joe ze zdziwieniem spojrzał na towarzysza.

„Dlaczego mnie o to pytasz, Lisku?".

„Dotarliśmy przecież do lądu" — odparł Lisek. — „Wedle naszej umowy, ty jesteś kapitanem, a ja załogą; czekam na rozkazy".

Joe zrozumiał i udając powagę, rzekł:

— „Zwołaj wszystkich na śniadanie; albo wiesz co, poczekaj chwilę".

Zbiegł na dół i wyjął pieniądze, które miał schowane w pakunku z bielizną.

Zamknąwszy kajutę, udali się obaj do miasta w poszukiwaniu restauracji. Podczas śniadania Joe ułożył dalsze plany i przedstawił je Liskowi.

Płatniczy w restauracji, zapytany o najbliższy pociąg do San Francisco, wymienił godzinę odjazdu. — Joe spojrzał na zegarek:

„Mam dość czasu, aby zdążyć" — rzekł do Liska.

„Gdy wrócisz na statek, zamknij kajutę i nie wpuszczaj nikogo na pokład. Oto pieniądze — zjedz obiad w restauracji; wysusz koce i prześpij się w kokpicie. Wrócę dopiero jutro. Pamiętaj, żebyś nikogo nie wpuszczał na pokład. — Dowidzenia!"

Uścisnąwszy pośpiesznie dłoń Liska, Joe popędził na stację. Konduktor, przecinając bi-

let chłopca, spojrzał nań ze zdziwieniem. Coprawda trudno się było nie dziwić; pasażerowie kolejowi nie mieli zwyczaju podróżować w morskich butach i ceratowych kapeluszach. Joe nie spostrzegł nawet zdumienia konduktora; wogóle nie widział nic co się wkoło niego działo. Kupił bowiem gazetę i całkowicie pogrążył się w jej treści. Zaraz na wstępie rzucił mu się w oczy ciekawy artykuł.

„Należy uważać ją za straconą"

„Wynajęty przez firmę „Bronson et Tate" holownik „Królowa morza", wrócił po beznadziejnych poszukiwaniach z wyprawy naokoło Heads'a. Nie zdobyto najmniejszych wiadomości o piratach, którzy ubiegłego wtorku skradli w tak bezczelny sposób kasę firmy w San Andreas. Dozorca latarni morskiej na Farralonach zeznał, że, podczas sztormu we środę rano, widział dwa statki żaglowe, wychodzące na pełne morze. Marynarze przypuszczają, że zginęły one obydwa wraz ze swym zbrodniczym łupem.

Według krążących pogłosek, kasa zawierała prócz wielu tysięcy dolarów w złocie, nader cenne dokumenty".

Przeczytawszy ustęp powyższy Joe odetchnął z ulgą. — Na szczęście podczas kradzieży nikt nie został zabity, gdyż wzmianka o tem dostałaby się do dziennika. Równie

sensacyjnej wiadomości nie omieszkanoby z pewnością umieścić w pismach.

Na stacji w San Francisco zdumiona publiczność z ciekawością przyglądała się chłopcu w morskich butach i ceratowym kapeluszu. Chłopiec ów skoczył do dorożki i udał się w kierunku miasta. Spieszył się ogromnie. Znał rozkład zajęć ojca i obawiał się czy zastanie go jeszcze w biurze przed wyjazdem do domu na lunch. Kiedy Joe otworzył drzwi do kantoru, woźny przyjrzał mu się nieufnie. Nie poznał go również starszy urzędnik, wezwany do rozmówienia się z podejrzanym klijentem.

„Znamy się przecież, panie Willis" — powiedział chłopiec.

Pan Willis spojrzał na niego badawczo.

„Boże drogi!" — krzyknął. — Ależ to Joe Bronson. Skądże się tu wziąłeś, na miłość Boską. Chodźże prędzej, ojciec jest jeszcze w biurze".

Pan Bronson, przestał dyktować stenografowi, i odwrócił głowę.

„Ach! to ty chłopcze! gdzieś bywał?" —zawołał.

„Byłem na morzu!" — odparł Joe pokornie. Nie wiedział jak zostanie przez ojca przyjęty, więc stał, kręcąc nerwowo kapelusz w ręku.

— „Aha! wróciłeś ze swej wycieczki; jakże ci ona poszła?" — pytał pan Bronson.

„Nie najgorzej, nie najgorzej" — odparł Joe. Dojrzał wesołe iskierki w oczach ojca, zrozumiał więc, że może mówić śmiało.

— „Nie było bardzo źle, dość nawet znośnie.

„Dlaczego znośnie?" — spytał ojciec.

„Trudno powiedzieć, żeby było zupełnie dobrze, mogło być o wiele gorzej, a skończyło się jak najlepiej".

„Zaciekawiasz mnie doprawdy, mój synu; usiądź i opowiadaj" — rzekł pan Bronson, a zwracając się do stenografa dodał:

„Może pan iść do domu, panie Brown, nie będę już dzisiaj pana potrzebował".

Joe ledwie mógł się od płaczu powstrzymać. Ojciec przyjął go tak serdecznie i naturalnie; dawał mu niejako do zrozumienia, że nie stało się nic nadzwyczajnego.

Ot, jak gdyby Joe powrócił z wakacji lub z jakiej podróży za interesami.

„Opowiedz mi wszystko dokładnie, chłopcze" — rzekł pan Bronson. — „Przed chwilą wyrażałeś się tak zagadkowo, że rozbudziłeś niezmiernie moją ciekawość".

Usiadł więc Joe i opowiadał o wszystkiem co mu się zdarzyło od poniedziałku wieczorem do chwili obecnej. Opisywał najdrobniejsze wypadki, najmniejsze szczegóły, nie zapomniał nawet przytoczyć swych rozmów z Liskiem, ani planów, jakie dotyczyły towa-

rzysza przygody. Twarz mu pałała; podniecał się opowiadaniem, porywając za sobą ojca, — który przerywał mu tylko wówczas, gdy chciał zachęcić do dalszego mówienia.

„Widzisz więc, ojcze, że skończyło się wszystko jaknajlepiej — powiedział Joe.

— „No tak, — odparł pan Bronson poważnie — „można sądzić o tem w ten lub inny sposób".

— „Jakto?" — zawołał Joe, mocno rozczarowany zdaniem ojca. Zdawało mu się bowiem, że zwrot kasy zasługuje na większe uznanie.

Pan Bronson zrozumiał widocznie uczucie syna.

„Jeżeli ci chodzi o kasę" — rzekł — przyznaję, że masz rację. Zasłużyłeś na pochwałę oraz nagrodę. Na poszukiwania kasy wydaliśmy już z panem Tate pięćset dolarów. Miała ona dla nas taką wartość, że wyznaczyliśmy pięć tysięcy nagrody za znalezienie jej. Dziś rano zastanawialiśmy się nad możliwością zwiększenia tej sumy".

Tu pan Bronson wstał i, poklepawszy serdecznie syna po ramieniu, rzekł:

— „Widzisz, mój chłopcze, są jednak na świecie rzeczy o większej cenie niż złoto lub papiery wartościowe. Odpowiedz mi na jedno pytanie: czy sprzedałbyś choćby za miljon do-

larów najlepsze możliwości twego przyszłego życia?

Joe zaprzeczył ruchem głowy.

— „O widzisz! to jest dla mnie punkt najważniejszy. Za największe skarby świata nie możemy kupić życia ludzkiego, ani naprawić tego, co się w niem zmarnowało. Życie, które raz zostało spaczone, zbrukane, zwichnięte, nigdy już nie będzie tak piękne i szlachetne jak przedtem.

Dlatego pytam cię, Joe, co mi o swej duszy możesz powiedzieć? Jaki wpływ wywarły na nią wszystkie te przygody? Czy jutro, pojutrze, lub za kilka dni nie zechcesz znów probować własnych sił? Zrozumiałeś chyba o co mi chodzi, Joe? Sądzę, że nie przypuszczasz, abym na tej samej szali kładł życie mego syna z jakąś ogniotrwałą kasą?

Powiedz sam, czy zanim czas mi tego nie potwierdzi, czy mogę orzec, że twoja wycieczka skończyła się „jaknajlepiej". Takie przejścia mogą się okazać równie złe jak dobre. Wszystkie dolary są do siebie podobne i tysiące jest ich na świecie, żaden jednak chłopiec nie byłby dla mnie tem, czem ty jesteś, Joe. Nie znalazłbym nikogo na całej kuli ziemskiej, kto zastąpiłby mi ciebie, mój synu. Zrozumiałeś mnie wreszcie, chłopcze, mam nadzieję; wiesz o co mi chodzi, prawdą?"

Głos pana Bronsona załamał się lekko, a Joe łkał głośno, z całego serca.

Ach! jakże nie znał ojca dotychczas! Teraz dopiero zrozumiał jaki ból musiał mu sprawić, nie mówiąc już o matce i siostrze.

Przez cztery dni, jakie spędził poza domem, wyrobił sobie nowy, trzeźwy sąd o ludziach. Uczuł gwałtowną potrzebę podzielenia się z ojcem swojemi myślami. Mówił mu więc o tem, co widział i czego się nauczył; jakie wnioski wyciągnął z rozmów z Liskiem i z zetknięcia się z Francuzem Pete. Mówił jak głęboko wryła mu się w pamięci chwila, gdy „Renifer" z Rudym Nelsonem i Petem zniknął w głębinach oceanu.

Pan Bronson słuchał i... zrozumiał.

— „A co będzie ojcze z Liskiem? — spytał Joe, skończywszy opowiadanie.

— Sądząc z twego opisu, jest to młodzieniec wielce obiecujący"—rzekł pan Bronson, odwracając głowę, aby skryć wesoły błysk w oczach.

— „Myślę, że da on sobie radę bez nas".

— „Ojcze!" — Joe własnym uszom nie wierzył.

— „Lisek ma prawo do połowy owych pięciu tysięcy dolarów" — mówił pan Bronson.— „Druga połowa należy do ciebie. Obaj ocaliliście kasę, by nie spoczęła na dnie Pacyfiku.

Gdybyście nieco poczekali, pan Tate i ja zwiększylibyśmy nagrodę.

— „Och!" — Joe zrozumiał wreszcie o co chodzi. — „Sprawę pieniędzy można załatwić odrazu" — rzekł. — „Zrzekam się poprostu mojej połowy. Ale Lisek nie pieniędzy pragnie. Jemu potrzebna jest przyjaźń ludzka. Nie mówiłeś mi o tem ojcze, ale wiem, że warta ona więcej niż pieniądze i że kupić jej nie można. Lisek chce się uczyć; marzy o przyjaciołach, o rodzinie, a nie o dwóch i pół tysiącach dolarów.

— „Czy nie lepiej byłoby jemu zostawić prawo wyboru? — zapytał ojciec.

— „O nie, to już ułożone".

— Jakto, ułożone?

— „No tak ojcze. Lisek był kapitanem na morzu, a ja na lądzie, teraz on słucha moich rozkazów.

— „Jesteś więc jego pełnomocnikiem w naszych układach?" — odparł pan Bronson.

— „Zrobię ci zatem pewną propozycję: dwa i pół tysiąca dolarów zostaną u mnie do rozporządzenia Liska; o twojej części pomówimy później. Następnie, przypuśćmy na rok, oddamy chłopca na próbę do naszego biura. Uczyć może się albo z tobą, sądzę, że będziesz robił teraz duże postępy w naukach, albo może chodzić do szkoły wieczorowej. Jeżeli przetrwa okres próby, dostanie ode mnie ta-

kie same wykształcenie jak ty. Będzie więc wszystko zależało tylko od niego. Jakże się pan zapatruje, panie adwokacie, na propozycję, jaką ułożyłem w imieniu pańskiego klijenta?"

— „Przyjmuję ją najchętniej" — odparł Joe.

Ojciec z synem uścisnęli się serdecznie.

— „A teraz co masz zamiar robić, Joe?" — zapytał pan Bronson.

— „Najpierw wyszlę depeszę do Liska. a później pędzę do domu".

— „Zaczekaj chwilę — pójdziemy razem; zadzwonię tylko do San Andreas i podzielę się z panem Tate dobremi wiadomościami.

— „Panie Willis, — rzekł pan Bronson, — wychodząc z biura. — „Kasa z San Andreas została odnaleziona, mamy więc wszyscy święto z tego powodu. Zechce pan zawiadomić urzędników, że wolni są dziś od pracy.

„Ach! prawda" — rzekł, gdy wsiadali z synem do windy — „proszę i o chłopcu biurowym nie zapomnieć!.

KONIEC.

EMIL DROONBERG

NAKŁADEM „ROJU"

ukaże się w najbliższym czasie cykl jego powieści awanturniczych i myśliwskich z „Dalekiego Zachodu" w rodzaju J. LONDONA i J. O. CURWOODA

a mianowicie:

Złoto Mglistych Gór
Nad brzegami rzeki Nelson
Minnehaha (śmiejąca się woda)
Złoto Alaski
Traper z Swift Creek
Jazda rekordowa naokoło świata
Przy obozowem ognisku
Siwash

EMIL DROONBERG

T

32

Biblioteka WSP Kielce
0287121